STRON 8

ROK V • NR. 6 (190)

NIEDZIELA

11 LUTEGO

LONDYN • 1951

# ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh



MARIA WINOWSKA

Z WIECZNEGO MIASTA

# AGNIESZKA I JAGNIĘTA

JEST cudny, rzymski, zimowy dzień. Na Brancaccio biorę stateczną „circolare nera" i odjeżdżam pian piano do Porta Pia, ongiś bramy miejskiej, której plan naszkicował Michał Anioł na rozkaz Piusa IV: stąd nazwa. Za bramą biegnie w głąb Kampanii Rzymskiej starożytna via Nomentana, dziś szczelnie zabudowana lecz przewiewna, szeroka, obramowana dwoma szlakami alej, które stanowią ulubione niedzielne passeggiaty mieszkańców miasta.

Patrzę na zegarek: mam czas, więc ruszam pieszo. Od Porta Pia do świętej Agnieszki jest około półtora kilometra. W nocy był przymrozek, powietrze jest rzeźkie. Towarzyszy mi przez całą drogę zajadły świegot ptasi: widocznie rajcują nad wyborem gniazd w dziuplach starych drzew, wśród przyciętych konarów, które już pęcznieją pod naporem wiosennych soków, złote od słońca...

Jakżeż wyglądała via Nomentana temu tysiąc sześćset lat, niewiadomego roku lecz wiadomego dnia (XII Kal. Feb. Agnetis Nomentanae, notuje katalog z połowy czwartego wieku), gdy tędy właśnie szedł orszak pogrzebowy małej męczenniczki, Agnieszki? Pochowano ją w grobowcu rodzinnym, „in agello suo", iż zaś w katakumbach pod bazyliką szereg epitafiów nosi nazwisko patrycjuszowskie Clodius Crescens, wnosić stąd można, że należała do arystokratycznej „gens Clodia"... Jak dziś złociło konary wiosenne już niemal słońce. Klangor ptasi był o wiele donioślejszy, gdyż więcej było drzew. Ocieniały starożytne nagrobki, które ciągnęły się żałobnym szpalerem aż hen, na zielone łęgi, przecięte smugą akweduktów. Jak via Appia Antiqua. Olbrzymie płaskie kocie łby dudniły tępo pod tupotem koni i sandałów... Orszak pogrzebowy na pewno nie był zbyt liczny. Najbliższa rodzina i siostra mleczna Agnieszki, Emerencjana. Oczywiście również i piastunka, którą uwiecznił napis papieża Damazego. Wszak dziewczynka „wyrwała się z jej objęć", by pobiec na męczeństwo...

Cóż my o niej właściwie wiemy?

Badania historyczne strącają niektórych świętych pierwszych wieków w mrok legendy, lecz i dobywają innych na światło oczywistości. To co wiemy na pewno o małej Agnieszce, starczy na zachwyt wszystkich pokoleń, do końca wieków.

Wiemy na pewno, że była mała i niepełnoletnia: „quae adhuc artibra sui per aetatem esse non posset". Otóż dziewczęta w Rzymie dojrzewały szybko i miały prawa pełnoletniości z ukończeniem dwunastu lat. Gdybyśmy wszakże nie dowierzali słowom świętego Ambrożego, spójrzmy na jej czaszkę przechowywaną przez tysiąc lat w skarbcu lateraneńskim, Sancta Sanctorum, dziś u świętej Agnieszki in Agone, na piazza Navona: z wieku w wiek bezsporne dokumenty potwierdzają autentyczność relikwii. Jest to bielutka czaszka małej dziewczynki, której jeszcze nie wypadły wszystkie zęby mleczne...

Orszak jej pogrzebowy na pewno nie był liczny, gdyż czasu onego na Rzym chrześcijański padł śmiertelny lęk. Był to ostatni i najokrutniejszy nalot prześladowań, wzniecony przez okrutnego Dioklecjana (284 - 305). Legenda zabronzowiła tak dokumentnie erę męczenników, że widzimy ją niemal zawsze w stylu „Quo Vadis" czy „Fabioli" Wiseman'a. Nie taką jednak jest prawda historyczna i prawda ludzka! Gdy Bóg z wiejadłem idzie w dzieje, wie On dobrze, na co się naraża. Elitą męczenników *kosztuje*: za ich cenę niezrównaną łamie się, zawodzi szara masa miernoty. Epoki największego bohaterstwa są zarazem epokami żałosnej nikczemności: szczytom towarzyszą zawsze otchłanie. To też dzieje pierwszych wieków Kościoła to nie tylko „gesta martyrum". Nie było papieża w czasie prześladowań, który by nie płakał na widok apostatów, owych „lapsi", którzy nie przetrwali, których nie stać było na śmierć męczeńską. Wiadomo, śmierci się nie improwizuje, a Kościół, to nie tylko społeczność świętych, ale także społeczność grzeszników. Bóg z wiejadłem idzie w dzieje, gdyż wie, dlaczego ryzykuje. Przez trzy wieki, na krwawych lekcjach poglądowych, uczyli się pasterze bezgranicznego miłosierdzia. Sprawa „lapsi" urosła do rozmiarów konfliktu doktrynalnego. Aż przemogła wola przebaczeń... nawet odstępcom, nawet zdrajcom. Rosnąca w niebie rzesza męczenników słała na ziemię coraz tęższe liny ratunkowe modlitw i jedna niebieska buchalteria wie, dla ilu dusz odskocznią w górę może być tylko — dno nędzy. Młody Kościół w pierwszych wiekach uczył się nie tylko szczytów, lecz i otchłani wołającej zmiłowań: abyssus abyssum invocat.

Za Dioklecjana i Maksymiana, którzy dzielili imperium rzymskie, panował w chrześcijańskich gminach zamęt nieopisany. Przez cztery lata trwało bezkrólewie na stolcu Piotrowym, gdyż wybór papieża oznaczał ipso facto—wyrdykt śmierci. Mnożyła się liczba męczenników, lecz i renegatów. Brat bratu nie ufał, syn przed ojcem się krył... Po raz wtóry od czasów apostolskich Kościół zstąpił w podziemia, (pierwszy raz za Decjusza).

I oto, gdy truchleją dorośli i co drugi daje nura, by nie wpaść w ręce cesarskich zbirów, wyrywa się dziewczynka „z objęć swej piastunki" i biegnie. Dokąd? Prościutko do prefekta, by oświadczyć wszem wobec i każdemu z osobna, że właśnie, że jest chrześcijanką, że się wcale nie boi i wcale tego nie wstydzi i że oto ją mają...

Dekret cesarski nie miał względów ani na wiek ani na płeć. Los Agnieszki był przesądzony.

Pierwszą o niej wzmiankę notuje jakichś siedemdziesiąt lat potem święty Ambroży, ale bez szczegółów, jako rzecz powszechnie znaną. Od niego wiemy, że odniosła podwójną palmę: duplex martyrium (co znaczy: świadectwo): pudoris et religionis.

Niechżeż nie dziwi nas nacisk, z jakim acta martyrum podkreślają ten podwójny triumf. Dziś wiemy, że los kobiet skazanych na męczeństwo był stokroć tragiczniejszy, niż to wyobrażał sobie Sienkiewicz. Starożytne prawo rzymskie nie pozwalało skazywać na śmierć — dziewic. Istniały więc pod amfiteatrami i pod arkadami cyrków straszliwe spelunki, w których kaci igrali z ofiarami przed wykonaniem wyroku. Te spelunki zwały się „fornices" (stąd „fornicatio"). Nie dziw więc, że wypadki, w których *podwójny* wyrok nie był wykonany i kończyło się tylko na śmierci męczeńskiej, notowane są w „aktach" złotymi głoskami...

Faktem jest, że niektóre męczenniczki nawet katom dyktowały respekt. Nie darmo grała w nich dumna, patrycjuszowska krew! Późniejsze legendy wymyśliły jakichś „synów prefekta" ba, imperatora, którzy zabiegali o względy chrześcijanek i dostawszy rekuzę, słali je przez zemstę do miejsc rozpusty. Zbyt monotonnie powtarza się ta wersja, by można dać jej wiarę. Nie podniesiemy kurtyny historii nad tym, co się działo pod arkadami stadionu Domicjana (dziś piazza Navona), w ów pamiętny dzień styczniowy z końcem trzeciego wieku. W podziemiach kościoła Santa Agnese in Agone znajdowała się kaplica, „sacellum infimum", którą utożsamiono z jednym „fornix" stadionu. Uparta tradycja, związana z tym miejscem, utwierdza nas w przekonaniu, że właśnie tam, na stadionie i pod stadionem, mlodziusieńka Agnieszka zdobyła swoją „podwójną palmę".

Mówi o niej z zachwytem nie tylko wielki Ambroży w swoim „de virginibus", ale również wielomówny lecz dokładny Papież Damazy, który z historią nie igra, lecz niemal zawsze przypina jej koturny. Tak że z jego nadętych słów nie łatwo czasami wyłuskać pokorną prawdę...

Nie wyobrażamy sobie, żeby zmyślił surowy papież śliczny obraz dziewczynki, która broni się przed bestialstwem zdzierających z niej suknię katów, rozpuszczając aż po ziemię sięgające warkocze. Jest jakaś siła w dziecięcej niewinności, która ubezwładnia nawet rozpustę... Jak wybrnęła spośród zgrai cyrkowej służby? Kto ją uratował do wtórej palmy? Pisze Ambroży, że kat bacznie musiał się zmierzyć, by zadać cios śmiertelny „tak wątłemu ciałku": „Fuitne in illo corpusculo vulneri locus?"

Epitafium z początków czwartego wieku (po prawej stronie schodów wiodących w głąb bazyliki, na ścianie) przedstawia młodziuchną dziewczynę, dziecko jeszcze, z główką w otoku warkoczy, ze wzniesionymi rękoma orantki... Późniejsze wieki wyhaftowały na prostej kanwie historycznej mnóstwo poetyckich kwiatków, lecz o ileż bardziej nas wzrusza surowe świadectwo skąpych faktów, które stwierdza historia! Ta czaszka bielutka jedenastoletniej dziewczynki, ten zachwyt świętego teologa i papieża dziejopisa, zbieżność dokumentów sięgających pokolenia, które ją znało a potem, po dziś dzień, nigdy nie wygasła, nigdy nie ostygła pobożność stuleci... W napisach i tekstach począwszy od czwartego wieku widzimy ją w towarzystwie chlub rzymskiego Kościoła, przy Piotrze, Pawle i Wawrzyńcu. W katakumbach znaleziono mnóstwo artystycznych „ex voto", oraz czary ze złoconego szkła, z małą Agnieszką między książętami apostołów. Itineraria pątnicze wskazują jej grób jako jeden „z najważniejszych" i słynący cudami...

Obecna bazylika sięga czasów Papieża Honoriusza (625 - 638), wielkiego budowniczego. Przebudował on do gruntu pierwotną bazylikę z piątego wieku, która powstała na jeszcze starszych fundamentach. Mozaika absydy z siódmego wieku, wyobraża Agnieszkę w uroczystym stroju monarchiń bizantyńskich, który przypomina dalmatykę. Obok niej dwaj papieże: Symmachus i Honoriusz, prezentujący jej z dumą plan bazyliki...

Była ona dawniej wgłębiona w katakumby, aby zgodnie z tradycją konfesja zajmowała najdokładniej miejsce grobowca, który wedle prawa rzymskiego był nienaruszalny. Stąd planowanie bazylik stawiało często nielada problemy architektom, gdyż pagórkowaty teren Rzymu nie zawsze nadawał się do budowy. Wiemy, jakie trudności musieli przełamać na stokach wzgórza watykańskiego, gdzie znajdował się grób świętego Piotra.

Bazylika świętej Agnieszki nie

# UDERZENIE W JEDNOŚĆ

KIEDY tak zwany „układ" Episkopatu polskiego z reżymem został ogłoszony, fakt ten wywołał w świecie katolickim uczucia mieszane.

Byli ludzie, którzy radowali się szczerze, że Kościół w Polsce wchodzi w okres pewnego spokoju. Że zrezygnowawszy z tradycyjnych dziedzin swego działania, na które od samego początku swego istnienia wywierał wpływ, zdoła zachować to, co jest istotne, samą substancję: jedność, swobodę kultu, nauczania religii w szkołach, ochronę życia zakonnego, pisma katolickie, etc. Inni obserwatorzy powstrzymywali się od głoszenia swego zdania, czekając na rozwój wypadków. Inni wreszcie od samego początku nie wierzyli ani przez chwilę, aby reżym chciał — i mógł! — układu dotrzymać, mimo tak wielkich ustępstw ze strony Episkopatu, że krok dalej, a byłoby to już krajanie żywego ciała depozytu wiary. Komunizm bowiem, twierdzili (a taka była również opinia większości emigracji), którego dogmatem jest gwałt, systemem — kłamstwo, a techniką — zdrada, z samej swej istoty bezbożnej i materialistycznej jest wrogiem wszelkiej religii. Jest w pierwszym rzędzie wrogiem katolicyzmu, religii jedynej, której uniwersalizm jest w jawnej sprzeczności ze swoistym uniwersalizmem komunizmu.

Ale pozostał jeszcze jeden czynnik ważniejszy, a pod pewnymi względami bardziej zainteresowany „układem", niż nasz Episkopat: Stolica Św. I należy to sobie szczerze powiedzieć: W kołach watykańskich — „układ" entuzjazmu nie wzbudził. Kościół bowiem nie jest federacją Kościołów lokalnych, „narodowych", nad którymi Papież spełniałby tylko rolę mało co ważniejszą od honorowego przewodnictwa. Z samej natury urzędu papieskiego, z dogmatu o nieomylności Papieża wynika logicznie jego bezpośrednia władza jurysdykcyjna nad każdym wiernym. To też i sprawy układów między hierarchią jakiegoś państwa a rządem tego państwa należą do wyłącznej kompetencji Papieża.

W „układzie" z 14 kwietnia zeszłego roku reżym narzucił Episkopatowi nie tylko ciężkie ale i bardzo niebezpieczne punkty, o charakterze wyraźnie politycznym, wewnętrznie i zewnętrznie politycznym, jak punkty 1, 2, 6, 7 i 8 oraz punkty 3 i 4. Punkty te zostały tak zredagowane, że zgodnie z dialektyką komunistyczną mogą być interpretowane w zależności od potrzeb reżymu i zawsze przeciw Episkopatowi. „Układ" bowiem mówi na wstępie, że biskupi będą się kierowali „dzisiejszą" racją stanu (!) państwa. Wspomniane punkty układu, narzucone prawem czy też bezprawiem mocniejszego, nie leżą w bezpośrednim polu działania Kościoła, a punkt 3 „układu", w którym Episkopat musiał wyrazić zgodę na zwrócenie się do Stolicy Św. z żądaniem zmiany administracyj apostolskich na normalne biskupstwa, miał charakter wyraźnie demagogiczny, w celu przyszłej kompromitacji Episkopatu. Realizacja bowiem wspomnianego żądania, w obecnym położeniu politycznym nie leży w mocy Stolicy Apostolskiej.

Jak Kościół nigdy nie może odstąpić od dogmatu, tak też nie odstępuje od norm pozytywnych i pewnych odwiecznych zwyczajów, które sobie wyrobił w swej trosce o dusze. Ludzie mierzą rytm czasu przemijającymi wydarzeniami, Kościół spogląda na zmiany zachodzące pod wpływem polityki państw — z perspektywy wieków. Do tych odwiecznych obyczajów Kościoła należy ostrożność i głęboka rozwaga w sprawach wykreślania czy zakładania nowych diecezyj, co nie dzieje się nigdy przedtem, zanim traktaty pokojowe nie ustalą ostatecznie zaszłych zmian terytorialnych. Pokoju z Niemcami nie ma i wiadomo, jaki jest udział kremlowskich mocodawców reżymu w tym stanie chaosu, w jakim znalazła się Europa po roku 1945. Czynić Episkopat polski winnym niezałatwienia sprawy nowej organizacji kościelnej na Ziemiach Odzyskanych, czego Stolica św. przed konferencją pokojową dokonać nie może, jest tylko przykładem tej polityki jawnego gwałtu i potwornego kłamstwa, jaki cechuje rządy komunistów wszędzie tam gdzie są dostatecznie silni, by kpić sobie z najoczywistszych faktów.

W usunięciu drogą bezprawia administratorów apostolskich z Ziem Odzyskanych i w zastąpieniu ich obyczajem praktykowanym w Czechach, naznaczonymi przez reżym kreaturami „wikariuszy kapitulnych" (!) jest droga do tak pożądanej przez komunizm schizmy i rozbicia zwartości Kościoła przez patronowanie powstaniu najpierw Kościołów narodowych, aby po rozbiciu związku z Rzymem tym łatwiej zgnieść wszelką religię w ogóle. Co do tego zgadzamy się wszyscy. Jest to wciąż ten sam manewr komunizmu: judzi wiernych przeciw klerowi, kler przeciw Episkopatowi, Episkopat przeciw Stolicy Apostolskiej. A w warunkach, w jakich znajduje się nasz Episkopat i nasi bracia katolicy w kraju — nie ma już innej drogi obrony praw Boga — jak heroiczna jedność z Ojcem św., Piotrem Żyjącym, który jest sakramentem Jezusa Chrystusa, jedynego Pasterza owiec.

doznała zbytnich obrażeń od zbyt gorliwych rekonstruktorów ubiegłych wieków. Kształt zachowała pierwotny, ze smukłym dwuszeregiem kolumn, skradzionych ze świątyń pogańskich i ślicznym „matroneum" po obu stronach głównej nawy. Przeszedł się tędy wprawdzie żałosny dziewiętnasty wiek, zostawiając raz jeszcze oczywisty dowód uwiądu starczego, na jaki chorowali ówcześni rzymscy artyści. Na szczęście malunki ich — płowieją.

Niedaleko bazyliki znajduje się grobowiec córki Konstantyna, z której średniowiecze zrobiło świętą, „santa Costanza", choć świętą bynajmniej nie była. Obudziło się w niej jednak święte pragnienie złożenia kości obok świętej męczenniczki. Wybudowała więc wspaniałe mauzoleum o niezrównanych dekoracjach mozaikowych. Wandale siedemnastego i dziewiętnastego wieku i tutaj dali się we znaki. Z mozaik głównego sklepienia nic nie pozostało prócz czarujących kopii i opisów. Sklepienia okrężne, mocno restaurowane, uderzają nas bogactwem motywów dekoracyjnych i mistrzostwem kompozycji. Tęczowe igry kwiatów, ptaków, gron winnych i jagód wokół medalionów ze scenami rodzajowymi: tu winobranie, tam żniwa... Motywy pogańskie splatają się z nieśmiałą narazie, chrześcijańską symboliką: oto jagnięta, jak w katakumbach, z różdżką pasterską i czarą mleka...

Agnieszka, Agnes... Kiedyż to imię dziewczynki splotło się z symbolem jagnięcia? Od stuleci rzymianie przestrzegają zbożnie wdzięcznego obrządku. Święta-Agnieszka jest patronką sodalisek i dzieci Marii. 21 stycznia, przede Mszą, jawi się u bram bazyliki wdzięczny orszak dziewcząt w białych welonach, a przodownice niosą w ślicznie udekorowanych płaskich koszykach beczące i oszołomione dwa jagnięta.

Mogłam je dokładnie obejrzeć w tym roku, gdyż.... stroją je wedle wszelkich wskazań etykiety nasze polskie siostry, Nazaretanki. Dwa dni temu przysłali je Trapiści z Tre Fontane, w prezencie dla świętej Agnieszki. Nasze siostry wyszorowały je solidnie mydłem i szczotką a wybieliwszy ile się dało, ustroiły we wstążki i kwiatki. Jedno jagnię ma na głowie czerwony wianuszek, drugie biały. Symbole „podwójnej palmy". Ułożyły się w koszykach bardzo grzecznie, jakby świadome swego wybraństwa. Wszak po nabożeństwie kanonicy regularni laterańescy, pod których opieką znajduje się obecnie bazylika świętej Agnieszki, odeślą je do mniszek przy bazylice świętej Cecylii, które wyhodują je, ostrzygą i uprzędą „pallia", które papież własnoręcznie daje w prezencie nowo-mianowanym arcybiskupom. Zabierając udekorowane jagnięta woźni laterańescy prosili przezornie na drogę o... trochę marchwi.

Nie pomogła i marchew! Rozbeczały się nieboźęta tuż przed bazyliką, i nie bez kozery. Jako że cisnął się wokół tłum, skubiąc z zapałem „świętą wełnę". Próżno i miękko opędzają się woźni. Wszak są również z rzymskiego ludu... Dzieci płaczą, że docisnąć się nie mogą, jagnięta beczą, bo nie w smak im te karesy, wreszcie orszak zbliża się do ołtarza i stawia koszyki tuż przed ołtarzem, aż do uroczystego ofiarowania podczas offertorium... Uroczystą melopeę gregoriańską przecina z reguły, w dzień świętej Agnieszki, żałosne beczenie jagniąt. Nie tylko nikt się tym nie gorszy, ale wręcz przeciwnie. Cała asysta śledzi rozmiłowanym wzrokiem symboliczne jagnięta... Niechżeż gorszą się starzy! Chesterton ma rację podkreślając wiekuistą młodość Kościoła, który umie przeplatać powagę swych obrzędów ze świętą igrą Dzieci Bożych i w stworzeniach widzi „znaki"... tajemniczy „las symboli"[1].

**Maria Winowska**

[1] *Znak w znaczeniu „signum" świętego Augustyna. Lasem symboli — „une forêt de symboles" nazywa świat — Baudelaire.*

# USTANOWIENIE HIERARCHII W POŁUDNIOWEJ AFRYCE

Dokonało się jedno z bardzo wielkich wydarzeń w życiu Kościoła: Dekretem Kongregacji Rozkrzewiania Wiary (de Propaganda Fide) z dnia 11 stycznia b.r., a ogłoszonym w dniu 20 stycznia, dotychczasowy teren misyjny Afryki Południowej otrzymał normalną Hierarchię. Chodzi tu o Unię Południowo Afrykańską, Afrykę Płd.-Zachodnią, Basutoland, Północną i Południową Rodezję i Swaziland. Dekret ten nie wyjmuje wprawdzie tych obszarów spod jurysdykcji Kongregacji Rozkrzewiania Wiary; świadczy jednak, że rozwój Kościoła w Afryce Południowej osiągnął taki punkt, iż może mieć własną organizację kościelną z biskupami i ordynariuszami w miejsce wikariuszy apostolskich. — Jak wiadomo, latem ubiegłego roku została ustanowiona normalna hierarchia w brytyjskiej Afryce Zachodniej.

W czasie, gdy na wielu terenach chrześcijaństwo cofa się, jak w Europie Zachodniej, lub niemal schodzi w podziemia, jak w Europie Wschodniej, na innych Kościół rozkwita. Radosne zjawisko wzrostu widzimy przede wszystkim na terenach misyjnych. W ostatnim ćwierćwieczu ilość nawróceń na terenach misyjnych podwoiła się w stosunku do stanu z roku 1925. Czemu przypisać, że przez ostatnich 25 lat dokonano na misjach tyle, ile w poprzednich 7 wiekach?

Powodów jest bardzo wiele, ale do zasadniczych należą dwa, trzy może, które jednak sprowadzają się do jednego: Ogromny rozwój misyj w ostatnich czasach jest owocem przejęcia tego dzieła *bezpośrednio przez Stolicę św.* Położyło to kres ingerencjom rządów i państw zachodnich, kiedy to misjonarz był nieraz wykorzystywany jako forpoczta w pierwszym rzędzie interesów swego kraju, interesów przemysłowych, politycznych, militarnych nawet, a nie Bożych. To też na wielu terenach — np. w Indiach, w Chinach, doprowadziło to do znienawidzenia chrześcijaństwa, jako religii obcej, niosącej niewolę i wyzysk, religii „europejskiej". Do znienawidzenia katolicyzmu przyczynił się też towarzyszący nieraz akcji misyjnej przesąd, że „prawdziwym" katolikiem można być tylko na sposób zachodni. Stąd też misjonarze narzucali często krajom o wysokiej, odwiecznej kulturze własnej — obce im zupełnie pojęcia, zwyczaje i praktyki cywilizacji zachodniej, w najlepszym zresztą przekonaniu, że to jest cywilizacja *tout court*, cywilizacja jedyna, uniwersalna podobnie jak chrześcijaństwo jest uniwersalne. Katolicy Chin czy Indyj modlili się w kościołach „gotyckich" (!) zamiast wielbić Boga w budynkach, które byłyby wyrazem ich rodzimego geniuszu; przed obrazami, które były kiepskimi kopiami malowideł włoskich czy francuskich, obcych zupełnie duchowi sztuki wschodniej. Pamiętamy, niedawne to czasy, że jeszcze Benedyktowi XV nie udało się przełamać nastawień, przesądów a nawet gorszących praktyk na misjach, które wyrządziły niepowetowane szkody Bogu i Kościołowi, hamując postęp chrześcijaństwa.

Dopiero od Piusa XI sprawy przybrały obrót pożądany. Chrześcijaństwo bowiem w każdym narodzie i w każdej kulturze jest „u siebie" i nie tylko, że nie zmienia niczego z tego, co jest naturalną właściwością danej rasy i kultury, ale wszystkie prawdziwe wartości, gdziekolwiek by one były, podnosi i uszlachetnia. Chrześcijaństwo bowiem nie jest zachodnie, katolicyzm nie jest religią europejskiego zaścianka; natomiast nie tracąc nic ze swej powszechności, w każdym kraju staje się on jak najbardziej religią narodową. Kultura zachodnia jest tylko jedną z kultur, a nie *kulturą jedyną*, do której Wschód ma dopiero „*dorość*", jak to z typowym barbarzyństwem pouczają nas ci, którym — świadomie czy podświadomie — wydaje się, że z upadkiem Zachodu „musi" nastąpić upadek Kościoła.

Trzeci powód — to wzrost kapłanów-krajowców. „Jeden kapłan krajowiec więcej znaczy niż stu najgorliwszych misjonarzy obcego pochodzenia", powiedział niedawno pewien biskup chiński, wskazując na księdza Chińczyka, który w Pekinie przyprowadził do Kościoła ponad 40.000 ludzi. — Czyż jest misjonarz, z wyjątkiem św. Franciszka Ksawerego, który w całych dziejach misyj może poszczycić się podobnym dziełem?

W świetle tych szkicowych, z natury rzeczy, uwag widzimy doniosłość tego, co się stało ostatnio w Afryce. I rozumiemy też przełomowe znaczenie w dziejach Kościoła zwłaszcza obecnego Pontyfikatu. Pius XII bowiem jest w całym tego słowa znaczeniu Papieżem powszechności Kościoła, czego m.in. dał dowód w nominacjach do Kolegium kardynalskiego i udzielając sakry biskupiej murzynowi J. E. Ks. Biskupowi Kiwanuka. **jt.**

# STULECIE URODZIN KARD. MERCIER

W tym roku, mianowicie 22 listopada, przypada stulecie urodzin wielkiego kapłana, filozofa, patrioty belgijskiego kard. Mercier. Ponieważ równocześnie w tym roku minęło 25 lat od jego świętobliwej śmierci (23 stycznia), już rozpoczęły się uroczystości ku czci Kardynała, jednego z największych synów Belgii i jednej z najpiękniejszych postaci w dziejach nowożytnej Europy. Ten znany przyjaciel Polski, jak wiemy, odegrał również wybitną rolę w odrodzeniu tomizmu i jemu zawdzięcza swą świetność katolicki ośrodek studiów filozoficznych i teologicznych w Louvain. W trzy lata po encyklice Leona XIII „Aeterni Patris" wzywającej do „odnowienia złotej mądrości św. Tomasza i do rozszerzenia jej jak tylko można dla dobra społeczeństw i dla wzrostu wszystkich nauk", powstała w Lowanium katedra filozofii tomistycznej, a jej profesorem został X. Mercier, liczący wtedy 31 lat (1822 r.).

Już w wykładzie inauguracyjnym młody profesor dobitnie określił, co należy rozumieć pod hasłem powrotu do scholastyki i św. Tomasza: „Myśl filozoficzna nigdy nie jest systemem zamkniętym. Pozostaje tak żywa jak umysł, który ją ujmował. To nie jest mumia spowita w grobie, przed którym mamy jedynie stać na straży. Jest to organizm wieczyście młody, zawsze czynny, a wysiłek osobisty musi ten organizm podsycać i podtrzymywać, aby zapewnić jego wieczysty wzrost". X. Mercier od samego też początku swej działalności pedagogicznej kładł nacisk na to,co jest troską ostatnich papieży, a zwłaszcza Piusa XII: na konieczność żywego związku neoscholastyki z naukami pozytywnymi. Był jednym z pionierów myśli, że niezbędna dla filozofa, który się nie chce zasklepić w czczym racjonaliźmie wiodącym na bezdroża i utonąć w bezpłodnej spekulacji, jest, przed studium filozofii, specjalizacja w któreiś z nauk szczegółowych. Sam X. Mercier, jako profesor w charakterze zwykłego studenta chodził na wykłady uczonych swego czasu i studiował neurologię, chemię, biologię i matematykę; dyskutował też z naukowcami sprawę stosunku filozofii do nauk ścisłych. — Kiedy Leon XIII założył w r. 1894 „Institut Supérieur de Philosophie" pierwszym rektorem mianował X. Mercier. Jest on założycielem *Revue Neo-Scolastique* i *Biblioteque de l'Institute Supérieur de Philosophie*, autorem wielu podręczników, etc.

**jt.**

## NOWY DZIEKAN ŚW. KOLEGIUM

Podawaliśmy w poprzednim numerze do wiadomości, że po śmierci kard. Fr. Marchetti - Selvaggiani dziekanem św. Kolegium został X. kard. dr Eugeniusz Tisserant, sekretarz Kongregacji Kościoła Wschodniego, przewodniczący Papieskiej Komisji Biblijnej, etc., etc.

Kard. Tisserant, Francuz z pochodzenia, liczy lat 66. Ur. W Nancy w 1884, w 1907 otrzymał święcenia kapłańskie i został powołany do Biblioteki Watykańskiej. W czasie I wojny światowej powrócił do Francji, był zmobilizowany do piechoty; w czasie działań wojennych odniósł poważną ranę.

Jako kierownik działu rękopisów orientalnych Vaticany został 1927 zaproszony przez Carnegie Foundation do USA. Zwiedził wtedy około 40 najsłynniejszych księgozbiorów amerykańskich, przygotowując się do reorganizacji Biblioteki Watykańskiej. W 1933 brał udział w międzynarodowym kongresie bibliotekarskim w Chicago i wygłosił szereg prelekcji naukowych w USA, m.in. w uniwersytetach Columbia i Yale. W czasie odznaczania go naukowym stopniem honorowym przez uniwersytet Princetown, powiedziano o nim: „wybitny uczony, znakomity mąż Kościoła /.../ znawca liturgicznych sztuk obrządków wschodnich, światowy autorytet w językach orientalnych i mistrz w rozwiązywaniu i określaniu starych manuskryptów".

Jest niewątpliwie najwybitniejszym dziś członkiem św. Kolegium, orientalistą wielkiej miary i niepospolitym lingwistą: Włada 13 językami: francuskim, włoskim, angielskim, niemieckim, perskim, rosyjskim, hebrajskim, arabskim, syryjskim, asyryjskim, etiopskim, łaciną i greką. (Mówią, że codziennie w innym z pierwszych 11 języków odmawia różaniec). Obyty jest również z językiem ukraińskim i polskim.

Jako sekretarz św. Kongregacji Kościoła Wschodniego kard. Tisserant posiada doskonałą znajomość spraw świata słowiańskiego. W jego to Kongregacji przede wszystkim zbiegają się najtragiczniejsze, a zarazem najautentyczniejsze dokumenty o potwornej walce z Kościołem za żelazną kurtyną. Szczególnie bowiem Kościół Wschodni jest dziś najbardziej cierpiącą częścią Kościoła Powszechnego. Wszędzie bowiem, gdzie tylko bolszewicy mają władzę — a są tu spadkobiercami linii politycznej jeszcze carskiej — ze szczególną zajadłością tępiony jest katolicyzm w obrządkach wschodnich.

Kard. Tisserant zna również Polskę. Ale z naszego kraju, z rozmów z wybitnymi osobistościami katolickimi, nie wywiózł najlepszych wspomnień. Chodzi mianowicie o dość rozpowszechniony w Polsce przed wojną stosunek do Unii, nacechowany, wyrażając się oględnie, niezrozumieniem; a wymownych demonstracyj tego niezrozumienia wówczas monsignorowi Tisserant nie oszczędzono.

Zeszłego roku wyszła w języku francuskim kisążka Kardynała (wydana przez Bloud & Gay) p.t. „L'Eglise Militante", zawierająca kilka jego konferencyj, ogłoszonych w ciągu ostatnich dwu lat w Nancy, Lourdes, Strasburgu, Cassablanca i Rabat. Szczególnie interesujące są dwie ostatnie konferencje w Rabat i Cassablanca, jakby dwie wielkie lekcje historii religijnej, dwie imponujące panoramy religijnych dziejów ludzkości i dziejów cywilizacji zachodniej. Mimo charakteru okolicznościowego, zaopatrzone są w precyzyjny aparat naukowy.

Kardynałowi Tisserant znane jest dość dobrze nasze pismo, zwłaszcza artykuły, dotyczące zagadnień uniwersalizmu Kościoła, Wschodu i Zachodu oraz wieloobrządkowości. Sam zgodził się łaskawie na publikacje w ŻYCIU swej pracy na temat jedności i powszechności Kościoła, wyrażającej się w istnieniu różnych rytów (nr. 4/135 z 1950 r.).

# ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

## ZAKAZ NALEŻENIA KSIĘŻY DO ROTARY KLUBÓW

W styczniu b.r. wyszedł dekret św. Officjum, zakazujący księżom należenia do Rotary Klubów. Zakaz nie dotyczy katolików świeckich, jednakowoż wolność należenia do Rotary zależy od charakteru tych Klubów w danym kraju: tam, gdzie one są całkowicie wolne od wpływów masońskich i nie mają charakteru indyferentnego, wolno katolikom do nich należeć. W tej sprawie obowiązuje świeckich Kanon 684 tyczący członkostwa w różnych organizacjach i zostawiający decyzję w tych sprawach biskupom ordynariuszom.

## ZARZĄDZENIA EPISKOPATU W CHINACH

Biskupi w Chinach mają prawo zezwolić księżom na odprawianie Mszy św. o każdej porze dnia, (jeśli tylko zbierze się grupa wiernych) „w celu skuteczniejszego odpowiedzenia szczególnym potrzebom czasu". W wypadku, gdy ksiądz odprawia Mszę św. po godz. 11 przed południem, zobowiązany jest na trzy godziny przedtem powstrzymać się od spożycia pokarmów stałych i napojów alkoholowych. To samo dotyczy wiernych, którzy pragną komunikować po godz. 11 przed południem.

Równocześnie internuncjusz Antonio Riberi, który tego przywileju udzielił wszystkim ordynariuszom, zażądał od biskupów Chin, aby wybrali i ustanowili szereg księży, którzy by jeden po drugim mogli obejmować zarząd diecezjami, w wypadku, gdyby biskupi spotkali się z przeszkodami, uniemożliwiającymi im sprawowanie władzy. Księża owi mieliby upoważnienia prefektów apostolskich, a więc nie mogliby mieć uprawnień należących istotnie do urzędu biskupiego.

## KOŚCIELNE POLITBIURO W ROSJI

„Jednym z największych zwycięstw Stalina jest całkowite ujarzmienie cerkwii schizmatyckiej w Rosji", oświadczył biskup Iwan Buczko, jedyny biskup ukraiński, któremu udało się wyrwać z rąk bolszewickich.

Biskup Buczko jest obecnie wizytatorem apostolskim greko-katolików na wygnaniu ze stałą rezydencją w Rzymie. Sześć miesięcy każdego roku spędza on na wizytacjach kanonicznych. Jego diecezja rozciąga się od żelaznej kurtyny poprzez zachodnią Europę aż do południowej Ameryki. W czasie swej wizytacji kanonicznej wśród 40 tysięcy Ukraińców w Anglii biskup Buczko napiętnował haniebny gwałt, jakiego dopuścił się Stalin na Cerkwi prawosławnej.

W publicznym oświadczeniu biskup Buczko powiedział, co następuje:

„Prawosławie w Rosji posiada obecnie 75 biskupów, podległych patriarsze moskiewskiemu. Tak patriarcha jak cały synod cerkiewny jak i duchowieństwo podlegają specjalnej komórce w ministerstwie Spraw Wewnętrznych. W ciągu ostatnich dwóch lat prawosławne diecezje otrzymały 40.000 nowych księży. Są to jednak księża tylko z imienia. W rzeczywistości są to agenci policji tajnej, opłacani przez Kreml i otrzymujący rozkazy z Politbiura. Wierzą oni tylko w Stalina, którego uważają za istotę wyższą. Wszyscy, razem z patriarchą i biskupami, są urzędnikami ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

„Tragedią greko-katolików, mówi dalej biskup Buczko, jest to, że po najeździe bolszewików na Polskę i Litwę dostali się pod władzę bezbożnego komunizmu, który ich wpakował w szeregi prawosławia. Ich biskupi i kapłani zostali wymordowani lub zesłani na Sybir. Lud pozostał bez duchowego kierownictwa a religia musiała zejść do katakumb. Wśród greko-katolików na Ukrainie pracuje jeszcze w przebraniu robotniczym 70 księży katolickich. Przed najazdem Stalina na Polskę Kościół grecko-katolicki liczył prawie sześć milionów wiernych w Polsce, Litwie, Rumunii, na Węgrzech, w Czechosłowacji. Z tej liczby zaledwie pół miliona przedostało się na Zachód. Reszta wpadła w ręce nowoczesnego antychrysta, który usiłuje zabić ich dusze, a ciało wydać w niewolę bolszewickiego totalizmu".

## SUKCES POLSKIEGO ARTYSTY

Rzymski katolicki Quotidiano" omawia w numerze z dnia 4 stycznia b. r. wielki sukces młodego artysty polskiego, X. Bronisława Mazura, na Wystawie Sztuki Religijnej, która z racji Roku Jubileuszowego odbyła się w Rzymie. Artykuł, napisany przez wybitnego publicystę i historyka sztuki, mgr Incisa della Rocchetta, zwraca uwagę na wielkie walory sztuki Mazura. Krytyk omawia dwa cykle witraży Mazura: świętych polskich i historię Królowej Jadwigi:

„Styl Mazura jest nowy: w kompozycji jego nie ma symetrycznych schematów, ale układ postaci jest jak gdyby stopniowany, postaci dla wszystkich rozpoznawalnych, chociaż rysunek jest sumaryczny: artysta otrzymuje go dzięki zestawieniu kawałków szkła kolorowego, bez poprawek dokonywanych pędzlem".

Incisa pisze dalej: „Ażeby dać obraz talentu i stylu tego genialnego artysty, chcę przede wszystkim zwrócić uwagę na kompozycję Madonny Wybawicielki ludu rzymskiego, tematu drogiego dla Rzymian. Czcigodny wizerunek jest tu oddany w sposób jak najbardziej wierny w stosunku do modelu... Najwyższy szacunek dla dobrych tradycji sztuki witrażowej łączy się tu szczęśliwie z dobrze pojętą nowoczesnością faktury, gdyż nawet z kartonu łatwo można poznać, jak otrzymać tu rysunek wyłącznie dzięki umiejętnemu zestawieniu dobranych kawałków kolorowego szkła, nie dotkniętych pędzlem. Możemy być pewni, że z tym talentem i tą uczciwością zawodową X. Bronisław Mazur da kościołom, które dane mu będzie zdobić, dzieła godne by je postawić na równi z arcydziełami wieków pszeszłych".

Do artykułu dołączona jest reprodukcja witrażu „Madonna Salus Populi Romani".

Od siebie możemy dodać, że X. Bronisław Mazur zaraz po zamknięciu Wystawy zaproszony został do wykonania witraży w kilku kościołach Brazylii.

**ROZPOWSZECHNIAJ „Ż Y C I E"!**

WIESŁAW PISARCZYK

# DZIWNA HISTORIA OJCA JOHNA

PANI Elżbieta Sullivan płacze rzewnymi łzami.

Mateczka Dunne nie może ani rusz wyrozumieć tych łez. Czyż Elżbieta może być jeszcze szczęśliwszą? Przecież Mr. Edward Sullivan, jej mąż, jest najbardziej wziętym i obiecującym prawnikiem Irlandii! Zaszczyty płyną za zaszczytami i tylko patrzeć jak jakiś piękny tytuł ukoronuje to niesłychane i zasłużone powodzenie. Rośnie uczciwie nabyta zasobność, rosną dzieci Anna i dwóch pięknych chłopców. I dzisiaj, przecież dzisiaj przyszedł na świat trzeci syn!

— O, pani Elżbieto, czego tu się martwić, czego płakać?

Pani Elżbieta nie powie tego nikomu, za żadne skarby. Trudno, nie może utulić się w żalu, nie może sobie wytłumaczyć tego zawodu, który ją spotkał. W głębi serca wierzyła, że to będzie córka! Nie zwierzała się nikomu. Jak zawsze, codziennie chodziła do Stołu Pańskiego, nie opuściła ani jednej Mszy świętej. Długie miesiące swego błogosławionego oczekiwania modliła się na tę swoją najskrytszą intencję. Wieczór po wieczorze, noc długa po długiej nocy mijały jak gdyby przeciekając w cierpliwych palcach, co przesuwały żarliwie ziarenka Różańca, który ofiarowywała w pokornej suplice do Matki Najświętszej. Czyż to wszystko daremnie? Na cóż ta cała ufna miłość, z którą hołubiła duży brązowy krucyfiks, ofiarowany kiedyś przez matkę?

Pani Elżbieta dobrze będzie pamiętać dzień 8 maja 1861 roku. Nie dlatego, że był słoneczny, piękny, ale dlatego, że te narodziny były takie zawodne.

Serce jej dobrze wie, dlaczego rozżalone łzy cisną się do oczu. Wie, że w mahoniowym biurku Edwarda, w zalakowanej kopercie, leży ten straszliwy świstek papieru, który nazywa się intercyzą ślubną. Podpisała ten akt z dobrej, nieprzymuszonej woli, z miłości do Edwarda, którego dzisiaj kocha tak samo jak wtedy. Tego nie żałuje wcale. A ten żal dzisiejszy, te łzy — to przecież taka naturalna, ludzka rzecz... ,,a potomstwo płci męskiej wychowywane będzie w protestanckiej wierze małżonka.''

Żeby to była córka!

Niestety, ten dzień musiał przyjść nieuchronnie. 15 czerwca 1861 roku malutkiego Johna wzięto do St. George's Protestant Church i ochrzczono tak jak nakazywała każda literka nieubłaganej intercyzy.

Aż dziw, że pani Elżbieta nie załamała się pod tym ciosem. Żeby uciszyć żal, zaczyna modlić się coraz goręcej. Żeby odnaleźć pocieszenie, odkrywa kojącą mądrość Drogi Krzyżowej. Odmierza ją wolno, starannie, dostojnie, nie opuszcza ani jednego najdrobniejszego szczegółu. Tylko, że jest tak wzruszona, że nie może się modlić, kiedy klęka przed bolesną sceną Matki i Syna. Sama nie zdaje sobie sprawy, dlaczego klęczy tutaj tak długo i nie może zdobyć się ani na jedno słowo modlitwy, tylko... płacze. To jej przynosi ulgę i spokój.

Życie posuwa się naprzód porządkiem, który nie zależy bynajmniej od pani Elżbiety. Biedaczka, nic nie może poradzić na to, że w roku 1873 John odjeżdża na sześcioletnią naukę do Portora Royal School, Enniskillen, do szkoły, która jest ostoją protestanckiego szkolnictwa w Irlandii.

Nie o takiej szkole, nie o takiej nauce dla Johna marzyła pani Elżbieta w skrytości ducha!

Raporty szkolne dra Steel'a są bardzo miłe, nie mają słów uznania dla postępów chłopca w łacinie i grece, a już nachwalić się nie mogą, jak to szybko John zdobywa gruntowną znajomość Pisma Świętego (Święta Moniko, zmiłuj się nad duszą dziecka, rzuconą na to rozdroże!). Najprzyjemniej głaszcze dumę matczyną wiadomość, że chłopiec jest taki dobry, taki uczynny dla kolegów i tak wzorowo dbały o swoją powierzchowność. A już najwięcej radości, kiedy szczupły blondynek przyjeżdża na wakacje i sam opowiada o swoich ulubionych wycieczkach na Lough Erne, o obozowaniu na wyspach, pełnych tajemnic, o niedostępnej, zdradliwej Gull's Island.

Wyróżniony medalami za wyniki pracy szkolnej w Portora, John idzie do Trinity College w Dublinie. Pani Elżbieta łudzi się, że teraz będzie go miała na oku, tuż przy sobie. Gdzież tam! Przecież to jeszcze żarliwsza ostoja protestantyzmu niż Portora! Przecież to kuźnia nienawiści religijnej! (O, dobra święta Moniko, miej go w swej opiece!)

Po kursie łaciny i greki John zabiera się do studiów prawniczych. Idzie w ślady swego ojca, Edwarda, który w karierze prawniczej szybko pnie się w górę po szczeblach zaszczytów — aż do tytułu Lorda Kanclerza Irlandii. Skromna, pobożna, cicha pani Elżbieta aż się rumieni, kiedy zaczynają ją nagle tytułować Lady Sullivan.

Nagle spada grom. Sir Edward umiera na udar serca. John rezygnuje z kariery prawniczej w Irlandii i przenosi się do Lincoln's Inn w Londynie. Wśród dublińskich ,high circles' zostawia za sobą markę jednego z najelegantszych młodzieńców irlandzkiej stolicy. W Trinity długo zostaje po nim wspomnienie najlepszego kolegi oraz renomowanego gracza w... wista.

Wkrótce John zostaje powołany do English Bar.

Chociaż pracy zawodowej niewiele, życie tego okresu układa się wcale kolorowo. John oddaje się z pasją podróżom. Włóczęguje po Francji, Italii, Grecji. Wszędzie ma przyjaciół, którzy go witają wpół drogi, ułatwiają zwiedzanie. Nigdy, do końca życia nie zapomni wstrząsającego wrażenia, jakiego dozna, zwiedzając świętą Górę Athos. Tu i ówdzie na świecie spotyka znajomych z Irlandii. Na chwilę zobaczy Oskara Wilde'a, którego pamięta dobrze z rodzinnego Dublina.

Poważany i ceniony, zajeżdża często do miasta swojej matki, podejmowany z otwartymi ramionami przez najlepsze domy. Ktoś nawet pomyśli tutaj, jaki to z niego dobry byłby zięć! I raz, jeden jedyny raz, zastawią nieudolne sieci. Ale John wymknie się szczęśliwie przez rzadkie oka niewinnej intrygi. (O, słodka, mądra Moniko, czyżbyś go wiodła tą samą drogą?)

Tak.

Oto z Londynu przychodzi radosna wiadomość. Pani Elżbieta nigdy tego dnia nie zapomni: Dnia 21 grudnia 1896 roku John Sullivan przystąpił do Kościoła katolickiego. (O, dzięki Ci, dzięki, święta Moniko!)

W plotkarskich kołach plotkarskiego Dublina zapanowało poruszenie jak w ulu. Nie podobna uwierzyć, żeby syn Lorda Kanclerza Irlandii, wychowanek Portora i Trinity zdobył się na taki krok! ,High society' jest wyraźnie skonsternowana, zbita z pantałyku, przerażona. Dublin nie może tej przemiany wyrozumieć. Jakiś zdyszany prezbyterianin łapie na ulicy sędziego Murphy, zatwardziałego protestanta:

— Słyszał pan coś podobnego? John Sullivan, nasz wspólny przyjaciel, przeszedł na katolicyzm!

Cięty jak osa sędzia Murphy odpowiada spokojnie:

— Niech pana o to głowa nie boli. John Sullivan poszedłby prosto do nieba nawet gdyby przeszedł na prezbyterianizm!

Lady Elżbieta uśmiecha się do siebie. Słaba już jest i nie będzie mogła pójść do kościoła. W domu odprawi swą dziękczynną Drogę Krzyżową, w domu odmówi radosny Różaniec szczęścia, w domu pomodli się do świętej Moniki, która była dla niej tak łaskawa. I spłacze się. Tylko ona jedna rozumie dobrze ten niespodziewany krok Johna. I święta Monika.

Sędzia Murphy miał najzupełniejszą rację. John zaczął przygotowywać się do nieba. Zabrał się do siebie z miejsca, zaraz po przyjęciu katolicyzmu. Spieszyło mu się. Pierwszą jego czynnością było usunięcie z mieszkania wszystkiego, co mogło wyglądać na luksus. Zostały tylko najprostsze, najniezbędniejsze meble. Ten sam los spotkał jedwabną bieliznę oraz wspaniałą kolekcję wytwornych krawatów, które tak pieczołowicie dobierał ten najelegantszy do wczoraj dublińczyk. John nie zastanawiał się nad tym krokiem. Nie zdawał sobie sprawy, że w ten sposób wybiera sobie nowe powołanie.

Lady Elżbieta umiera w roku 1896, szczęśliwa, że może zostawić swój krucyfiks synowi, żeby był najdroższą ozdobą w jego nowym, ascetycznym mieszkaniu, żeby mu towarzyszył i strzegł na drodze, którą mu sama wybrała, wymodliła i wypłakała rzewnymi łzami. John jest bezradny wobec śmierci matki. Swe najgłębsze uczucia wyraża jak dziecko. Przynosi na jej grób wiązankę białych lilii i modli się tak żarliwie, jakby w ten sposób podziękować chciał za cud swego nawrócenia. Odtąd zawsze, do końca swego pracowitego żywota, pamięć o matce będzie kojarzył z postacią świętej Moniki. Potwierdzi to niedługo później, kiedy w przedmowie do biografii pewnego konwertyty, złoży jej mimowolny hołd w tak charakterystyczny dla siebie, lapidarny sposób:

,,Historia nawrócenia autora tej przedmowy jest bardziej prosta i da się zsumować słowami św. Augustyna: *Me fidelibus et quotidianis matris meae lacrimis, ne perirem, fuisse concessum.*'' To proste i wruszające stwierdzenie upełni raz jeszcze, niechętnie i z zażenowaniem odsłaniając swe serce przed obcymi ludźmi: ,,Jej modlitwom i poddaniu się woli Bożej zawdzięczam wszystko. Bóg jeden tylko wie, co to oznacza.''

John zaczyna odrabiać ,stracony' czas w sposób zastraszająco szybki. Jak kiedyś pani Elżbieta w ciągu swego pobożnego żywota, tak on teraz ni dnia nie opuści, żeby nie pójść na Mszę Świętą. Tak jak matka odmawia swój ulubiony Różaniec, o którym sam wyrazi się w następujący sposób: ,,Jest to największa modlitwa, ponieważ zawiera trzy największe modlitwy Kościoła. Sprawia cuda. Płynie wprost przed Boży tron.'' W drodze Krzyżowej widzi niezawodną, nieomylną mądrość istnienia.

Powołania nie potrzebuje szukać. Znajduje je jednym gwałtownym odruchem jakiegoś osobliwego natchnienia, kiedy pozbywa się luksusowych mebli, jedwabnej bielizny i wytwornych krawatów. Droga, na którą tak śmiało wkracza jako intruz, jest jasna i prosta jak ścieżki, wydeptane przez świętego Francisz-

(Dokończenie na str. 4)

ALEKSANDRA STYPUŁKOWSKA

# ŚWIĘTY W HYDE PARKU*)

Trybuny Hyde Parku są czymś zgoła niezwykłym, nawet w społeczeństwach wychowanych w tradycji wolnego słowa. Dla nas, przedstawicieli katolickiego narodu, jeszcze bardziej może niezwykłym wydaje się fakt, że wśród innych licznych trybun, na których przemawiają metodyści i komuniści, Badacze Pisma Świętego i syndykaliści, zwolennicy eutanazji i murzyni, dopominający się o zniesienie ,,colour bar'u'' — istnieje również stała trybuna Catholic Evidence Guild, instytucji powołanej do krzewienia wiary katolickiej.

Na tej to trybunie przemawiał w każdą niedzielę przez 25 lat z rzędu dominikanin, Ojciec Wincenty McNabb. Dyskusje na Marble Arch nie zasługują zapewne na uwiecznienie, tak jak dialogi Platona czy choćby Wilde'a. Rzadko sięgają sedna sprawy. Powodzenie mówcy ze ,,skrzynki od mydła'' polega raczej na talencie riposty, zmyśle humoru, cierpliwości wobec ludzkiej głupoty. Jeśli potrafi, nie nudząc spragnionych widowiska słuchaczy, wciągnąć ich w poważniejszą dysertację, to znaczy, że posiada zdolność szczególną i rzadką.

Postacią niezbędną w tym obrazie jest ,,heckler''. Nie ma w polskim języku odpowiedniego słowa na określenie osoby, która agresywnymi pytaniami zaczepia mówcę, przerywa mu wywód w pół zdania, jątrzy dyskutuje i doprowadza nieraz umysły do stanu wrzenia. ''Heckler'' jest wokół trybun Hyde Parku niemal instytucją. Należał właśnie do ich grona autor wspomnień o Ojcu McNabbie. Dwadzieścia pięć lat utarczki słownej sprawiło, że według słów wstępu do książki Sidermana, atakujący dorósł do miłości ku zakonnikowi, a zakonnik pokochać musiał przeciwnika.

Świętość, rzekł ktoś, jest zjawiskiem, które rozbija mury wyznań. Powiedziałabym więcej: świętość potrafi nawet przebić ścianę ateizmu. Jest tak przenikliwa, że sięga tam, gdzie sprzęgła się zła wola i źle użyty rozum ludzki. Materialiści i bezwyznaniowcy, którzy atakowali Ojca McNabba w czasie jego misji na trybunie koło Marble Arch, odrzucali Boga, ale chylili nieraz głowę przed człowiekiem, nieświadomi, że oddają w ten sposób cześć Łasce działającej przez jego słowa i czyny.

,,Pieśń o Bernadetce'' była hołdem oddanym świętości przez Żyda, który zmarł w judaiźmie. Kiedy bierzemy do ręki książkę E.A. Sidermana ,,A Saint in Hyde Park'', mimowoli nasuwa się porównanie z Werflem. Nie znamy, rzecz jasna, dostatecznie przewodu wewnętrznego obu autorów. Wydaje się jednak, że Werfel minął się z Chrystusem na odległość wyciągniętej dłoni. Siderman, o ile sądzić by należało z jego książki, jest tylko namiętnym polemistą; dysertacje religijne zaspakajają jego dialektyczną pasję. Jest jednak Żydem wierzącym. W postaci Ojca McNabba widzi więcej, niż obraz człowieka. Wyczuwa i rozumie działającą przez niezwykłego mnicha siłę, której źródło nie jest z tego świata.

Chaotyczne szkice Sidermana pozwalają odgadnąć raczej, niż ujrzeć nieporównaną sylwetkę dominikanina. Autor podaje sumiennie i bezpretensjonalnie wszystko, cokolwiek pamięć jego zdołała zapisać. Wśród powodzi dialektycznych anegdot, skrzętnie notowanych przez uczestnika zapisków, znajdziemy zaledwie niewiele przykładów głębokiej wiedzy Ojca McNabba. Beznamiętne szkice Sidermana, to coś niby pęcherzyki pary na gotującej się oddennie wodzie.

Chwilami, zwłaszcza w początkowych ustępach książki, doznajemy poniekąd uczucia skrępowania wobec teatralności gestu zakonnika, gdy klęka pośrodku alei Hyde Parku lub całuje stopy człowieka, który go obraził. Rodzi się w nas niespokojna myśl, czy ta pokora nie jest egzaltacją lub efekciarstwem. I nagle trafiamy na ustęp, który nas, ludzi zblazowanego stulecia, wprawia w osłupienie. Oto ten mnich, wyrwany niejako z rozpłomienionego wiarą średniowiecza, pisał swoje dzieła, klęcząc przy stole w swej zakonnej celi. Tak powstało nowe tłumaczenie Summy św. Tomasza i około 30 innych tomów. Pryskają wszelkie wątpliwości i zastrzeżenia. Świętość ukazuje swe oblicze. Świętość, która umierającemu starcowi pozwala przemierzać piechotą kilkumilową drogę, jaka dzieli klasztor od trybuny Hyde Parku, a o przygotowaniu do śmierci mówić wesoło, jako o swym nowym ,,full-time job''.

Ojciec Wincenty McNabb interesował się każdym przejawem myśli ludzkiej. Choć jego główną pasją jest filozofia i dogmat, porusza w dyskusjach zagadnienia polityczne, społeczne i obyczajowe. Jest nieubłaganym pogromcą grzechu i błędu, lecz miłość do człowieka nie pozwala, by jego fanatyzm przerodził się w nietolerancję. Humor stanowi niezawodną broń mówcy na równi z doskonałym opanowaniem dialektyki, którą bije agresora. Świetnym przykładem logicznej pułapki na przeciwnika jest odpowiedź, udzielona agnostykowi: ,,Agnostycy utrzymują, że nie jesteśmy w stanie wiedzieć czegokolwiek o czymkolwiek. Pan zaś twierdzi, że pan WIE, iż nie można nic wiedzieć...'' Jako zdecydowany wróg ustroju komunistycznego Ojciec McNabb polemizował z komunistami nie tylko w Hyde Parku, lecz uczęszczał nawet na zebrania polityczne. ,,Chcecie poznać prawdziwy komunizm — zwykł mawiać do swych adwersarzy — przyjdźcie zwiedzić nasz klasztor''. W swych ideach społecznych był zwolennikiem ruchu głoszącego powrót do natury, który miał uratować ludzkość od przemysłowego niewolnictwa. Zamiłowanie do prymitywu przejawia się u zakonnika także w jego codziennym obyczaju: nie znosi żadnych środków lokomocji, nie można go zmusić, by zajął miejsce w autobusie czy taksówce. Chodzi przez kilkanaście lat w tych samych dziurawych butach, które były robione nie maszynowo, lecz ręcznie. Czyści je ręką, twierdząc, że tłuszcz ludzkiej skóry lepszy jest, niż pasta. Mimo że w celi jest łóżko, sypia zawsze na podłodze. Nie kładzie się nawet w chwili śmierci. Zakonnicy z trudem zmuszają go, by przed samym zgonem usiadł w fotelu. Asceza? Zapewne tak. Ale obok niej jakiś pociąg do pierwotności, niechęć do cywilizacji. Skłonność ta znajduje również swój wyraz we wrogim stosunku do wszelkich modernizmów tak w dziedzinie sztuki, jak wychowania. Ze zdziwieniem stwierdzamy, że nas to nie razi, że cecha ta łączy się nieodzownie z niezwykłym anachronizmem jego postaci.

Mówca, który zajął miejsce Ojca McNabba na trybunie Hyde Parku powiedział: ,,Wkrótce będziemy się modlić nie za niego, lecz do niego''.

Ujmujące dziwactwa dominikanina, jego irlandzki temperament okupiony trudną pokorą, a nade wszystko blask, jaki się sączy z kart książki, skreślonej ręką przyjaciela i wroga sprawiają, że zamykamy wspomnienia Sidermana z żalem, że dane nam było ujrzeć Ojca McNabba jedynie cudzymi oczyma.

**Aleksandra Stypułkowska**

*) ,,A Saint in Hyde Park'', E.A. Siderman, Geoffrey Bles, London, 1950.

(Dokończenie ze str. 3)

ka. Chociaż nie ma w nim miłości do przyrody, choć białe głębie nie siadają mu na ramionach, ale za to wszystko streszcza się w miłości do maluczkich, biednych, strapionych, chorych, zapracowanych i starych. Nie ma w nim tych perspektyw. które zapowiadają gwałtownego reformatora, ale są płomienie nigdy nie gasnącej energii. które wypalają się w tysiącach ‚malutkich' uczynków, nie sięgających — zda się — dalej niż można zajechać rowerem lub zajść piechotą w dziurawych butach. Ale natężenie tej pracy nie ma granic, nie zna zmęczenia do ostatnich dni.

Ktoś jest chory — trzeba go pocieszyć. Jakaś staruszka w przytułku potrzebuje szczypty tabaki — trzeba zanieść. Jakaś biedula nie ma bucików — nie można odmówić. Jakiś dubliński konwent potrzebuje 40 funtów na wybrnięcie z kłopotów finansowych — trzeba dać (choćby na dwie raty. jeżeli nie można inaczej!). Jest tylko jeden kłopot z tym wszystkim. Żeby tak można było te drobniutkie. nieważne przysługi oddawać anonimowo, żeby nikt nie widział, nikt nie wiedział, żeby nie potrzeba było uciekać przed podziękowaniami! On tych ceremonij nie lubi, jest bardzo nieśmiały.

Tymczasem ludzie w tej malutkiej Irlandii wszystko wiedzą, wszystko widzą, wszystko komentują, plotkują. chwalą niepotrzebnie, nawet zaczynają mówić o ‚świętobliwym Johnie Sullivan'. Taki, na przykład, pan O'Brien napisze do Francji, do swej siostry, że „jest tutaj u nas, na wsi, John Sullivan. Stał się prawdziwie świętym człowiekiem. Jego zachowanie i sposób życia mogą być doskonałym wzorem dla ludzi prawdziwie religijnych."

Albo te Klaryski z Ballyjamesduff! Też nie mają nic innego do roboty tylko plotkować i podpatrywać zwyczajnego człowieka, który codziennie modli się w kaplicy i czuje się taki szczęśliwy, że może patrzeć na Tabernaculum. Jedna z nowicjuszek robi zupełnie niepotrzebną uwagę:

— O, ten pan Sullivan, to bardzo pobożny człowiek!

Starsza siostra zna go dłużej i aż się żachnie na tę uwagę:

— Pobożny?! Toż to lampę można przed nim świecić, jak przed świętym!

Dziwe sprawy Johna Sullivana zaszły tak daleko, że już nie było zaskoczenia, kiedy w roku 1900 syn protestanckiego Lorda Kanclerza wstąpił do klasztoru. Nie ma już tych plotek i szeptów po salonach dublińskiej society. Wszyscy rozumieją, że to jest nieuchronne następstwo, logiczny wniosek powołania, które manifestowało się w sposób widomy od czterech lat. Poniektórych może tam i zdziwi fakt, że Mr. Sullivan wybrał właśnie zakon jezuitów, a nie, powiedzmy, franciszkanów. Po prawdzie, to i John sam nosił się z tym franciszkańskim zamiarem od czasu, kiedy odkrył w sobie miłość do maluczkich i biednych. Ale John chciał uczyć. Nauczanie uważał za zawód najmilszy w oczach Bożych. Dlatego wybrał zakon jezuitów.

Nowicjat odbywa w kolegium św. Stanisława w Tullabeg, teologię w Milltown a filozofię w St. Mary's Hall, Stonyhurst. W roku 1907 otrzymuje święcenia kapłańskie, poczem natychmiast zostaje mianowany nauczycielem w jezuickim kolegium w Clongowes, 17 mil od Dublina. Zaraz w pierwszym dniu jeden z doświadczonych nauczycieli jezuickich bierze Ojca Johna na spacer po ogrodzie szkolnym i tak go wtajemnicza w arkana sztuki nauczania: —

— Bo widzi Ojciec, najgorszy to jest początek w nauczaniu. Uczniów trzeba zaraz na wstępie zdobyć. Tajemnica powodzenia w klasie polega na tym, że nowy nauczyciel musi jakby spaść z nieba, musi być tajemnicą dla klasy, musi ją natchnąć lękiem i przerażeniem.

Ojciec John jest zawsze pokorny. Więc też cierpliwie słucha. Ale tego to już za wiele:

— O, nie! Tak przecież nie można postępować z duszami ludzkimi!

Surowe zasady nauczania jezuickiego nie godzą się z jego franciszkańskim duchem i przekonaniami. Nie godzą się z jego miłością do młodzieży. On tam już ma swoje pedagogiczne metody. (O, wybacz mu, Panie, te pedagogiczne metody!) Wcale nie myśli napełniać młodych głów uczonymi wiadomościami. To zadanie jest drugorzędne dla Ojca Johna. B u d o w a ć młode dusze, to była jego robota, to była jego filozofia, własna, nie pożyczana od nikogo! Co tam jakiś nieważny egzamin wstępny na uniwersytet! Chłopiec w szkole musi się przede wszystkim przygotować do najważniejszego egzaminu, jaki go czeka każdej chwili, każdej minuty. Do egzaminu wstępnego do . . nieba.

Od tych zasad Ojciec John nigdy nie odstąpił. Coś tam jednak w nich musiało być, skoro mu nikt nie wytykał rezultatów nauczania!

Nic to, że w klasie nie zawsze było tak jak potrzeba. Ale wejść na przykład po południu do skromniutkiego pokoiku Ojca Johna! Ciasno tutaj od młodych i cisza panuje, kiedy oblatany po świecie Mr. John Sullivan opowiada o cudach starożytnego Rzymu i Grecji. Tutaj w tym pokoiku można zawsze, o każdej porze, liczyć na radę, na pocieszenie. Tutaj Ojciec John naucza swoim bogatym doświadczeniem i jeszcze bogatszą osobowością, która czasami promieniuje w wymiarach zupełnie nieuchwytnych dla uczniów. Dlatego też czasami piszą w listach do domu:... „i niech mi Mama wierzy, że ten Ojciec Sullivan, to tak jak jakiś prawdziwy święty."

Jakby na potwierdzenie tych listów, jeszcze dziwniejsze rzeczy dzieją się w konfesjonale Ojca Johna. Tylko, że niestety, zamknięte są pieczęcią tajemnicy. Wiadomo jedynie, iż cisnęli się do niego przede wszystkim najbardziej krnąbrni i nieposłuszni uczniowie. Wiadomo również, że Ojciec Sullivan zawsze klęczał słuchając spowiedzi. Tak, klęczał na gołej posadzce. I w tej pozycji pośredniczył w łaskach, które spływały przez jego serce. Tego nawyku klęczenia nie wyzbył się nigdy. Kiedy pocieszał chorych po szpitalach czy domach prywatnych — zawsze klęczał przed łóżkiem. Klęczał przed duszą człowieka, która otwierała się przed nim na oścież.

A ludzie szli do Clongowes jak na odpust zewsząd, dokąd tylko dotarła wieść, dokąd doleciała szeptana cichutko plotka o tym, że modlitwa Ojca Johna dociera bez trudności do nieba.

Ojciec John miał w tym wszystkim prawdziwie radosne urwanie głowy. Czasami, bardzo nieśmiało, opędzał się przed ludźmi:

— Módlcie się sami. To jest jedyna droga. Otwiera się przed każdym, kto zapuka łagodnie do Serca Jezusowego jedną Zdrowaśką. Mówcie DEO GRATIAS do wszystkich rzeczy, mówcie je, a będziecie świętymi. Ułóżcie swoje życie według MAGNIFICAT, nie ustajcie chwalić i błogosławić Pana.

Mimo to chodził piechotą lub jeździł na rowerze, gdzie go tylko potrzebowano. W każdą pogodę gotów był wybrać się do Dublina. Kiedy jeno dało się ukraść jakąś wolną godzinę — modlił się. W nocy szedł czasem na pobliski cmentarz i tam odprawiał swe modlitewne stacje przyklękając na mokrych grobach. Wszystko to za jakieś nieznane, cierpiące w zaświatach dusze. Często zdarzało się, że przed położeniem się do łóżka (lub wprost na gołą podłogę) — zażywał bolesnej pokuty dyscypliny lub łańcucha, które potem starannie chował przed okiem ciekawych braci.

Ludzie wierzyli święcie, że ten ascetyczny jezuita jest w bezpośrednim kontakcie z Bogiem. Jakaś nieuleczalnie chora w szpitalu św. Wincentego prosi Siostrę Teklę, żeby sprowadziła Ojca Johna, bo tylko on może pomóc, tylko on może ją uleczyć. Zdumiona Siostra pyta:

— Dlaczego koniecznie Ojca Sullivana?

— A, bo widzi Siostra, to jest wyjątkowy ksiądz! Bardzo surowy dla siebie. Żeby cuda czynić, trzeba być bardzo surowym dla siebie. A on taki jest.

Później, już jako Father Superior w Rathfarnham, Ojciec John znajduje inne powołanie duszpasterskie: rekolekcje po konwentach i klasztorach. Z radością i pasją oddaje się tym podróżom. Nie lubi, żeby po niego przysyłano na stację bryczkę lub samochód. Nie lubi ceregieli, i sądzi, że to nie wypada na rekolekcje jechać samochodem! Kiedy przybędzie na miejsce, najczęściej od razu idzie do kaplicy. Ze skrawkiem papieru i ołówkiem w ręku klęczy przed Tabernaculum i od czasu do czasu robi jakieś notatki. Modli się o natchnienie przed rekolekcjami.

Ale przychodzi kres. W szybkiej chorobie zbliża się koniec dziwnej historii Ojca Johna Sullivana. Cierpliwy kres, zatopiony w nieustannych modłach. Nie szukał leków dla siebie. Nie prosi o cud wyzdrowienia, który tyle razy wymodlił dla innych. Odchodzi w monotonnym brzęku Lacrima Christi, który zmęczone Siostry szpitalne odmawiają bez przerwy, na zmianę. Ręce zaciskają miłośnie brązowy krucyfiks ofiarowany przez panią Elżbietę. (O,dobra święta Moniko, jakie przyjęcie zgotowałaś dla Ojca Johna?)

Tłumy ludzi oblegają urząd pocztowy w Clongowes. Czekają na raporty o stanie zdrowia Ojca Johna, tak jakby to był król. Potem cisną się na pogrzebie, żeby całować trumnę, żeby choć szczyptę ziemi z jego mogiły wziąć jako relikwię.

Było to w roku 1933. Ale na tym nie kończy się dziwna historia Ojca Johna: Sprawa jest w rękach księdza Postulatora, który gromadzi skrzętnie materiały...

**Wiesław Pisarczyk**

STANISŁAW WESTFAL

# ŁEPKA ZGON

W przepięknie napisanym artykule pt. *Łeb i łepek* (Życie z dn. 17 grudnia 1950 r.) żali się p. Jan Bielatowicz — tym samym cech językoznawców pod pręgierz stawiając — że nie są znane przyczyny, dla których, w pewnych wyrazach, spółgłoski ulegają udźwięcznieniu (por. *zgrzyt*, zam. dawniejszego *skr-żyt*, XVI w.) lub dla których mamy oboczne pary: ze spółgłoską bezdźwięczną *(paprać się)* i z dźwięczną *(babrać się)*[1].

Drugą kwestią, przez autora podniesioną, jest *p* zdrobnienia *łepek*, którego to wyrazu słowo macierzyste, *łeb*, ma *b*. I tu, zgodnie z prawdą, wytyka p. Bielatowicz naszemu cechowi, iż nie wykrył sekretu bezdźwięcznego w *łepku p*.

Obie kwestie są interesujące. Jan i Pafnucy, którym za marne (Bóg widzi!) pieniądze za skrybę od pewnego czasu służę, zawieruszyli mi się gdzieś w okresie noworocznym. Śpieszę więc w szranki sam, aby bronić, i mam nadzieję obronić honor zawodu.

## I

## SKON-ZGON

Przykłady ilustrujące pierwsze zagadnienie czerpie p. Bielatowicz z Jana Łosia *Gramatyki Polskiej* (I. 1922), którego też i cytuje.

Powściągliwość Łosia, z jaką traktuje on zagadnienie, jest niewątpliwie *również* wyrazem ostrożności naukowej nieżyjącego już dziś uczonego. Ale wydaje mi się, że można bez obawy pójść o krok dalej.

Nb. wbrew p. Bielatowiczowi para *skrżyt i zgrzyt* jest u Łosia objaśniona (str. 165): *ż*, które jest spółgłoską dźwięczną, normalnie, poprzez również dźwięczne *r*, udźwięczniło *sk* w *zg;* z kolei — to już inna sprawa — *r-ż* pomięszało się z *rz* (takie pomieszanie reprezentuje para nazwiskowa *Skarżyński: Skarzyński);* w XVI-XVIIw. jeszcze wymawianym jako rodzaj stopu *r* i *ż*, podobnie jak dziś jeszcze w czeskim to, co pisownia oddaje przez *r* z odwróconym francuskim cyrkumfleksem. Również i średniowieczny *strżeń*, ‚*rdzeń*', tym razem wbrew twierdzeniu Łosia, tą samą poszedł drogą, i u Malczewskiego. tego od *Marii*, występuje w formie *zdrzeń* rodzaj zresztą zmieniwszy na żeński :

„A na odłogu szczęścia zgryzota korzeni
Swe kolczyste łodygi robaczliwej *zdrzeni*"

Cechą wspólną reszty podanych przez Łosia i p. Bielatowicza przykładów jest, że zawierają w sobie, w odległości od jednej przynajmniej z udźwięcznionych spółgłosek, tzw. głoskę półotwartą (półotwarte są w zasadzie zawsze dźwięczne) tj. *l (wielki:* ludowe i stp. *wielgi)*, *ł (czołkać się*, XV w.: *czołgać się)*, *m (ciamcia*, ‚człowiek rozlazły': *dziamdzia*, to samo), *n (skon: zgon)*, *r* (u Reya *kustrać się: guzdrać się; paprać się: babrać się; pryskać; bryzgać;* u Sępa-Szarzyńskiego *strętwieć: zdrętwieć)* itp., albo *rz*, które dawniej zawierało półotwartą *r* jako element *(trzazka: drzazga)* itd. Przykłady, które półotwartej nie zawierają, są bardzo nieliczne: *deptać: tupać;* (Czesi, nasza językowa pociecha, i w tym drugim mają *d: tupać = dupati*, i o trzeciej osobie — liczby pojedyńczej — wyrażają śmiało nawet publicznie!); stp. *wcipiać się* (por. *dowcip!): wścibiać się*, itd.

Źródłem rezerwy Łosia jest to, iż oczywiście tylko niektóre wyrazy, głoskę półotwartą zawierające, godzą się na takie udźwięcznienie wszystkich czy też niektórych swoich spółgłosek. Inne — masa! — stawiają skuteczny opór. Półotwarta jest więc nieabsolutną przyczyną udźwięcznienia.

Przyczyną współtowarzyszącą udźwięcznienia są różnolite skojarzenia znaczeniowe, emocjonalne, mechaniczne. Francuski polonista Grappin bardzo wymyślnie tłumaczy powstanie *zgonu*-śmierci: „Słowo *zgon* było z początku terminem rybackim oznaczającym czynność *z-gon-ienia* ryb drogą bicia po wodzie oraz miejsce, do którego, koniec końców, chroniły się te ryby, którym jeszcze udało się umknąć sieci; naturalna metafora sprawiła, iż *zgon, ostatni zgon*, zaczął oznaczać ostatnie chwile życia" *(Introduction phonétique à l'étude de la langue polonaise*, 1944, por. str. 155)[2]. Miłemu *Gallo sic cogitanti* tak na to odpowiem:

a) czysto-rybackie przenośnie (nie graniczymy jak Francja w ⅔ z wodą!) nie są u nas „językotwórcze"; Konsumpcja ryb jest u nas chyba kilkanaście razy niższa niż w ojczyźnie p. Grappina, tak samo więc i konsumpcja frazeologii rybackiej;

b) zgonione w ostatnią toń ryby są żywsze niż kiedykolwiek (strach!) a konają dopiero dobrze po wyłowieniu z wody, zgon zaś człowieka jest już czymś ostatecznym naprawdę, chwilą definitywnego „uspokojenia się" *(upokoił sia* — piszą pięknie Ukraińcy na tablicach grobowych);

c) bliższe i dla wszystkich Polaków jasne jest skojarzenie *skonu* z innordzeniowym i wcale nie-pokrewnym, ale bliskoznacznym czasownikiem *zginąć*, i tu widziałbym (a mam nadzieję, że Jan mnie pochwali) przyczynę „wykolejenia się" *skonu*. Ku skojarzeniu temu zresztą mechanicznie skłania ów inny (p. wyżej) *zgon*, ze *zgonić* się wywodzący a oznaczający: ‚zganianie', ‚ogromne stado bydła' lub ‚kilkanaście rojów pszczół, które się zebrały w jeden rój'. „Wykolejenia" nie ma w *skonać*, bo czasownik ten nie rymuje ze *zgonić*, a przede wszystkim raz już ze *zginąć* podjęta więź nasyca *zgonu* potrzeby czasownikowe i *skonać* od *zgonu* izoluje.

O udźwięcznieniu w *babrać się*, *bryzgać*, *dziamdzia*, *guzdrać się*, *wielgi*, zadecydowało, jako przyczyna współtowarzysząca, emocjonalne, ekspresywne (ostatni termin użyty jest przez Grappina) zabarwienie tych czasowników. Inne przykłady są mniej jasne.

Resumując: dorywcze udźwięcznienie zachodzi prawie wyłącznie w wyrazach zawierających głoskę półotwartą; wykazują one ekspresywno-emocjonalne zabarwienie znaczeniowe albo kojarzą się z innymi słowami o bliskim znaczeniu i dźwięcznej „obsadzie" spółgłoskowej. Reguła nie jest absolutna, sprecyzowanie wszystkich okoliczności nie zawsze łatwe, ale krok, maleńki, dalej postawiliśmy.

## II

## ŁEBEK-ŁEPEK

Teraz zajmiemy się kwestią bardziej fascynującą: skądże, u licha, wziął się *łepek*, z *p*, w miejsce spodziewanego *łebek*, z *b?* I nie znana piszącemu te słowa z języka potocznego *łepeta* i bardzo dlań *(vide* własny kark) swojska *łepetyna?*

Odpowiedź na te dręczące pytania zatytułować by można: „Sprawozdanie z jednej (ze wszech miar dobrze, że nie „z tysiąca i jednej") bezsennej nocy — i jednego również bezsennego dnia".

Czytelnik, który z wielkim dla ducha pożytkiem, przestudiował pierwszą część artykułu, zdziwić się winien (jeżeli nie, to ja się dziwię), że to właśnie zawierający półotwarte *ł łeb* doczekał się takiego cudackiego potomstwa, napiętnowanego *bezdźwięcznym p*.

Spróbujmy podciąć to zdziwienie.

Przede wszystkim zastanówmy się, czy prawowity *łebek*, który nb. wykryć możemy ze stuprocentową pewnością jedynie w mianowniku - bierniku liczby pojedynczej (tylko tu pisane *b* wymawia się jak *b)* jeszcze naprawdę istnieje. *Słownik warszawski* nie podaje żadnych wiarogodnych cytat. Słoński w swoim miniaturowym *Słowniku polskich błędów językowych* (W-wa, 1947) uwzględnia obydwie formy, *łepek i łebek*, jako poprawne, zaznaczając, że ta druga postać jest rzadziej używana. Kobylasty *Słownik poprawnej polszczyzny* Szobera, który to dykcjonarz każdy dobry i niedobry Polak winien trzymać u wezgłowia łoża a na noc pod poduszkę pchać (beczkę soli obok stawiając), także za częstszy uważa *łepek*. Zatem wbrew temu, co zakłada p. Bielatowicz, *professores togati* bynajmniej na *łepek* się nie sierdzą. Nie będę chodził po „matkach-Polkach", żeby na żywo, u wózka dziecięcego, albo w pieniach na cześć fauny domowej, schwytać i podpatrzyć mianownikowo-biernikowy *łepek*, z *p*, bo wycieczkę tę mogę sobie, wygodniej, zastąpić Giertychem:

„Patrz, patrz, Władusiek, — co za cudna psina! Ach, jaka cudna! Jak cudnie przechyliła *łepek!*" — rozczula się jakaś dama w *Polsce między wojnami*, t. I str. 95.

(Miło nb. znaleźć się w Polsce (między wojnami), choćby duchem, nawet jeżeli pan Giertych zbyt na nasz smak często każe nam chodzić „na papu i tutu" — i w ogóle na „tout-tout" — do dworu!).

Na tej jednej cytacie, jako dowodzie współczesnej popularności *łepka*, z *p*, mozołu sobie szczędząc poprzestaniemy.

*Słownik warszawski* da nam wyobrażenie o dawności tej zbakierowanej postaci: zna ją już słownikarz Mączyński *(„łepki*, tarcze,

[1] Spółgłoska dźwięczna, np. *z*, wymaga przy wymowie wibracji umieszczonych w krtani strun głosowych (co łatwo stwierdzić kładąc na krtani palce). Bezdźwięcznym odpowiednikiem *z* jest *s*.

[2] Niedostatki księgozbioru własnego i dostępnych bibliotek sprawiły, że ewentualnych innych pozycji autor niniejszego artykułu nie mógł wykorzystać, na czym chyba zresztą artykuł nie ucierpiał.

# NIESMUTNY

miecze") oraz współczesny mu Jędrzej Kochanowski (por.: „Na głowach swych mają szerokie okrycie, żółte *łepki* z wilczych skór obszyte sowicie"), obaj z XVI w. Zatem: *łepek* ma *minimum 400* lat. Na wiarę dosypałbym jeszcze trochę, z tych lat, które dzielą XVI wiek od chwili, gdy wszystkie końcowe spółgłoski *(-b* w *łeb!)*, po zaniku jerów (p. dalej w tekście, koło odnośnika do dopisku 6) końcowych, zaczęły tracić dźwięczność, kiedy to powstały warunki, w których mógł zrodzić się *łepek*. Schylmy więc głowy przed starożytnością domu *Łepkowskich*, tym bardziej, jeżeliśmy w lekkomyślności naszej — przed niniejszym artykułem oczywiście — uważali ich za familię nową, hołdując rzekomo nowej i niedawnej *łepka* pisowni!

*A non lucendo* — że nie świeci na łamach słowników światłem dla naszych oczu duchowych dostatecznym — konkurencyjny *łebek*, z *b*, chyba że nas ktoś o tym dowodnie przekona, uznamy — w naszych przynajmniej czasach — już tylko za prawie - fikcję, której matkują zwolennicy pedantycznej konsekwencji ortograficznej.

Ale przyrzekło się objaśnienie. Przerzadkie są rzeczowniki męskie w mianowniku (w wypadku nieżywotnych i w bierniku) składające się, biedactwa, z jednej tylko sylaby, a które zawierają tzw. *-e-* ruchome, w innych zaś przypadkach tracą to *-e-* i uzyskują w ten sposób pień bezsylabowy, np. nasz *łeb*, dopełniacz *łb-a (łb-* jest pniem, *- a* to końcówka przypadka). W utrudnieniu niemałym i pocie czoła kroplistym (życie za *ŻYCIE* nieledwie oddając) ułożyłem dla ciekawskich czytelników pełną tych rzeczowników listę, z pewną, dalsze rozumowanie ułatwiającą klasyfikacją fonetyczną:

*z pniem zakończonym na spółgłoskę bezdźwięczną szczelinową*[3]*; pies*, dopełniacz *ps-a; dech*, dop. *tch-u* (tak! zdziwienie wzbronione!); *mech, mch-u;* razem 3;

*z pniem zakończonym na spółgłoskę dźwięczną szczelinową: lew: lw-a; szew: szw-u; zew: zw-u; bez: bz-u; giez: gz-a; kierz: krz-a* lub *krz-u;* razem 6;

*z pniem zakończonym na spółgłoskę bezdźwięczną zwartą*[3]*): kiep: kp-a; chrzest; chrzt-u;* razem 2;

*na spółgłoskę dźwięczną zwartą: łeb: łb-a;* nieboszczyk (w podwójnym sensie — proszę podzielić słowo na dwie części) „*deżdż*", dop. *dżdż-u* (pierwotnie przynajmniej wymawiane *d-żdżu)*, dziś zachowany tylko u nieco starszych autorów lub poetów („Zwykle jednak zbywa się ją przez oddawanie przyczyny *dżdżu* w ręce Boga" — etnograf Moszyński; „Znów popatrzeć przez okno Na kasztany co mokną, *Od dżdżu* mokrym przyglądać się listkom" — Słonimski) oraz w skostniałej formie dawnego przysłowia: „Czeka jak kania *dżdżu*";

*z pniem zakończonym na głoskę półotwartą* (p. pierwszą część artykułu): *len: ln-u; sen: sn-u; ber: br-u* (informacja dla nieuświadomionych: jest to ‚roślina z rodzaju prosa'): *kieł: kł-a; dzień: dn-ia; pień: pn-ia;* razem 6.

Wszystkiego jest więc zaledwie 18-19[4]. Mało, malutko, skąpo. Okoliczność, która sprzyja pośliźnięciu się, nawet upadkowi wyrazu.

Uderzają w zgrupowanych rzeczownikach pewne anomalie. Ustalona przez tradycję nieortograficzna pisownia *tchu* (powinno być „*dchu*") łamie pierwotnie wzrokowo jasny związek z mianownikiem — biernikiem *dech*, co daje odmianę *dech, dechu*, znaną i ze starszych (Reymont: „ta człowieka zewłoka, próżna żywiącego *dechu*, leżała, jakby uśmiechając się leciuśko, wśród świateł, dymów i modłów nieustannych") i z nowszych autorów (Gołubiew: „leży padło *bez dechu*"). Dopełniacz *zwu* (i inne przypadki ze *zw-)*, nie wiem, czy jeszcze tuła się wśród nas, bo rozpanoszyły się postaci nowsze: *zewu* itd. („*wobec zewu* krwi własnej" — Grubiński).

Najciekawsza jest historia *dżdżu*. Mimo że w czasowniku trafia się np. „*zmiażdż go!*", „nie *gwiżdż* tak głośno!" — *deżdż* był jednym jedynym rzeczownikiem kończącym się na *-żdż (gwiżdż*, ‚orzeszek laskowy robaczywy', nie jest szerzej znany!). Wręcz przeciwnie, *-szcz* jest zakończeniem częstym: *barszcz, bluszcz, chrabąszcz, chrząszcz, dreszcz, gąszcz, kleszcz, moszcz, płaszcz, pryszcz, tłuszcz itp.* Nie dziwota więc, że z uwagi na tak liczną gromadę rzeczowników na *-szcz* dawny, ołowiano ciężki „*deżdż*" do nich właśnie się przyłączył, zwłaszcza, że i wyrazów zaczynających się na *dżdż-* (przypadki zależne) nigdy nic nie mieliśmy oprócz pochodzących od *dżdżu* i w dawnej postaci utrzymanych: przerzadkiego *dżdżyć*, częstszego *dżdżysty* i normalnej *dżdżownicy*, która po *dżdżu* z ziemi wychodzi. Stąd lekki, choć nie mniej dokuczliwy, o szyby dzwoniący *deszcz, -u*.

*Chrzest* winien mieć przypadki zależne z „*chrzst-*" (inaczej Grappin, str. 167, op. cit.). Szukajcie takiego chrzęstliwego, bezsamogłoskowego początku w całym słownictwie polskim — nie znajdziecie! Upodobniło się więc *s* do poprzedzającego *rz* w *sz* przechodząc i zanikło, stąd powstało *chrzt-*, nie takie już dręczące.

Obok szczupłej ilości i anomalii notujemy w wyrazach typu *łeb* pewne akty bezprawia, dalszą okoliczność stawiającą te rzeczowniki na uboczu, *beyond the pale of respectability*, jak by powiedział Anglik.

Anomalie te są przyczyną lub jedną z przyczyn anemii, zaniku niektórych rzeczowników tego typu. Taki *kłep* najwyraźniej wycofuje się z użycia, nawet mimo iż jego nieprzyzwoite znaczenie (powściągnij ciekawość, czytelniku!) już bodaj 250 lat temu zgubiło się. *Kierz*, dop. *krza* lub *krzu* nie jest szerzej znany (w literaturze rzadko się chyba z Jehową rozstaje: „jak *z krza* gorejącego głos" — Grzymała-Siedlecki; „maciejowy *kierz (krzu)*" — Bujak. Wolimy wygodniejsze *krzaki* (dawne zdrobnienie, *kierzek, kierzka*, zostało w rodzinie *Kierzkowskich*, o których dziś — zataili — nikt nie wie, że w krzakach-krzaczkach, raczej przez duże *K*, zresztą rodzeni). A taki rzeczownik *kień, knia*, ‚pień, kłoda, kloc' *(Kieniewicze?)*, spaliliśmy zupełnie.

Zawadziliśmy o zdrobnienia, utworzone sufiksem *-k-*. Owóż do klasycznego kanonu o przekształcaniu się „niegdysiejszych" samogłosek ultrakrótkich (tzw. „jerów")[5] w *-e-* lub zaniku ich zależnie od pozycji w wyrazie (kanon ten p. Bielatowicz formułuje błędnie: w detale się nie wdając zanika zawsze końcowy *i miękki i twardy*, jer, każdy nieparzysty od ostatniego licząc lub każdy znajdujący się w sylabie poprzedzającej sylabę zawierającą normalną samogłoskę — proces ten odbył się nb. prawdopodobnie w XI w.) nie pasuje żadne z siedmiu zdrobnień zbudowanych z tej osiemnastki przy pomocy *-k-*. Według kanonu winno być: „*ps-ek*"[6] ( * *pqsxkx* — *q* używam tu na oznaczenie miękkiego, *x* — twardego jeru), *pies-k-a* (z * *pqs-xk-a); „lw-ek"*, *lew-k-a; „msz-ek" mesz-k-u; „łb-ek", łeb-k-a; „kł-ek", kieł-k-a; „dn-ek" dzień-k-a; „pn-ek", pień-k-a*. W miejscu dawnych mianowników powstały mniej w wymowie kłopotliwe postaci: *piesek, meszek, lewek, łebek, kiełek, pieniek*. W zdrobnieniu zaś od *dzień* doszło do niezmiernie rzadkiego skandalu fonetycznego: zamiast *-e-* (ruchomego) mamy tu *-o-* (i to nieruchome!) — *dzionek, dzionka*[7].

Resumując, rzeczowniki męskie typu *łeb, łb-a* są przerzadkie, wykazują anomalie ortograficzne *(dech, tchu)*, strukturalne czy fonetyczne *(dechu, zewu, deszcz, -u, chrzest chrztu)*, zdrobnienia na *-k-* budują nieregularnie w stosunku do pradawnego kanonu o jerach. Niegrzeczne, niesforne, kłopotliwe towarzystwo.

Szczupła ilość wiedzie ku grzechowi. Jeszcze gorszym zwodzicielem jest osamotnienie. Wyżej — ku utrapieniu, ale i nauce cierpliwego czytelnika — podany rejestr rozpatrywanych rzeczowników unaocznia nam, że (pomijamy pnie zakończone na głoskę półotwartą[8]) najpopularniejsze są pnie na spółgłoski szczelinowe, dźwięczne i bezdźwięczne (9). Na zwartą dźwięczną mamy zaś właściwie tylko jeden:... właśnie nasz *łeb!*

Osamotnienie *łba* sięga znacznie dalej: w żadnym typie rzeczowników któregokolwiek z trzech rodzajów nie ma rzeczownika, który by pień swój kończył na *-łb* mogące w swe łono przyjąć swawolne, ruchome *-e-!*[9]. A poza *łbem* na *łb-* mogą *zaczynać się* tylko trzy tegoż samego wyrazu pochodniki: *łbisko*, dawna *łbica*, XVII — XVIII w., ‚brzydki, straszny łeb, mózgownica, głowisko, łbisko', oraz *łbieniec*, podobno nazwa jakiejś jaszczurki.

Zatem koło *łba*, obok atmosfery niegrzecznej, niekanonicznej, nielegalnej, nie-*comme-il-faut* (towarzystwo!), rozpościera się grzechowi sprzyjająca miesięczna poświata tak daleko idącej samotności, że możemy się spodziewać, Bóg wie jakich wybryków. Otóż wybrykiem jest nasz *łepek* i na nim wzorowana *łepeta, łepetyna, łepak*, pisowniowo również *łepski* (łebski według reguł z r. 1936).

Dlaczego jednak „*łep*" (jak przecież wymawiamy) nie daje „*łeba*" (por. *deszczu)* lub „*łpa*"? — spyta logicznie rozumujący czytelnik. Wszak, jeżeli anomalie tyczą przeważnie samego *łba*, dlaczego „cierpi" za nie właśnie *łepek* i koledzy? Ustalmy najpierw, że na tym świecie jest tak, że ktoś zawsze musi cierpieć, że cierpią słabsi, wrażliwsi, niewinni, zastępcy, łajdakom natomiast — wbrew pryncypiom kwakierskim — powodzi się najczęściej doskonale! Owóż uczucie wkładane w *łepek* drogiego zwierzątka (przeważnie przez płeć piękną jak u Giertycha) lub dziecka jest ładunkiem słabości.*Łeb*, który nb. w dzisiejszym języku jest dość świeżą metaforą wziętą ze zwierząt dużych (łeb konia, słonia, tygrysa, lwa) lub w wyobraźni naszej powiększanych, nie ma w sobie owej *nieżnosti, Zartheit*, czułości-kruchości *łebka* dziecięcego. Ponadto *łeb* zachowuje wyraźnie, nie oddźwięczniające się *b* w szeregu popularnych zwrotów: dać, dostać *po łbie;* nadstawić *łba;* wodzić, brać się *za łby; ze łbów* im się kurzyło; ma kiełbie *we łbie;* bił *łbem* o ścianę; *łbem* kręci; *na łbie* staje; patrzy *spode łba*. Te zwroty stanowią niezdobytą twierdzę *b*. Ofiarą pada więc zdrobnienie, gdyż *b* w ogóle mogłoby się utrzymać jedynie w mianowniku-bierniku, i mamy *łepek*, potem *łepaka, łepetę, łepetynę*.

*Łepetyna* swoim *-t-yn-a* (winno być -c-in-a, por *kobieta, kobiecina)* zdradza poza tym, że powstała wśród Polaków znających język ruski, ukraiński (por. *rohatyna*, z ukr. — stpolska była *rogacina)* i jak Pan Michał języka tego używających w chwilach rozsentymentalnienia, rozrzewnienia. Pochwalmy przy tej okazji autentyzm Sienkiewicza — w barokowej, w samym końcu XVII w. napisanej *Złocistej przyjaźnią zdradzie*, pisze autor, Adam Korczyński:

„Wraz dwie — polską i włoską — łącząc manijerze[10]
Przez co się wydawała wdzięczna melodyja
Na kształt owego, *jako z ruska bywa czyja*
*Po polsku łagodniejsza niżli polska mowa*
*Sama przez się* — wtąż i tam pomieszana owa
Zdała się melodyja, zwłaszcza gdy z wieczora
Grywał..."

Nielada *łepak* był ten Sienkiewicz!

*

Tak to krzyżujemy szpady z panem Bielatowiczem prawdę honorując *(Veritatem)*. On znad Tamizy, ja — znad Clyde'y. Ku pożytkowi czytelnika i własnemu.

**Stanisław Westfal**

*2 stycznia 1951 r.*

---

[3] Nie będę wyjaśniał różnicy między szczelinową a zwartą, podam tylko praktyczny sposób rozróżnienia: szczelinowe *s* można wymawiać „w nieskończoność", nie przerywając *(ssssss...)*, zwarte zaś *t* trzeba *powtarzać* (w obu wypadkach oczywiście nie dodając samogłoski *e* z przodu czy z tyłu).

[4] Za każdy nowy rzeczownik tego typu i rodzaju płacę po tynfie!

[5] Termin *jer* pochodzi z cyrylickiej nazwy liter oznaczających też same staro-cerkiewno-słowiańskie samogłoski ultrakrótkie.

[6] *Psek* nb. występuje w *Biblii Królowej Zofii*, 1455 r.

[7] Obok *dzionka* należy tu też chyba *Kłopek* Trembeckiego, „szpic faworytny króla Stanisława Augusta", z *kpa*, oraz *pionek* szachowy, z *pnia*.

[8] Te wyłączamy, bo półotwarte nigdy nie mogą tracić dźwięczności przed samogłoską i nigdy nie dałyby np. formy *kiełek* z takim (bezdźwięcznym!) *ł*, jakie kresowcy (jedyni Polacy mający jeszcze dawne „prawdziwe" *ł*, nie rodzaj *u*) wymawiają np. w pozycji końcowej, po spółgłosce bezdźwięcznej, por. *zmysł*.

[9] Nawet po innych spółgłoskach bodaj tylko dopełniacz liczby mnogiej *toreb*, obok częstszego *torb!*

[10] *Dwie manijerze*, ‚dwa maniery, dwa sposoby' biernik liczby *podwójnej*. Drugi wiersz znaczy: ‚dzięki czemu powstała pełna wdzięku melodia'. *Wtąż*, ‚tak samo, również, zarazem, jednocześnie'.

# 2.200 KOŁCHOZÓW W POLSCE

W SWEJ książce „The Curtain Isn't Iron", o której pisaliśmy obszernie na łamach ŻYCIA, Joseph Harsch notuje, że w czasie gdy był po raz ostatni w Polsce, t.j. w r. 1949, „kolektywizacja gruntów rolnych istniała tylko w postaci propagandowych wsi potemkinowskich". Ogłoszono o uruchomieniu licznych gospodarstw kolektywnych, ale obserwatorzy z Zachodu nie mogli wyszukać żadnego, z wyjątkiem jednego, które składało się z utytułowanego kierownika i niczego bodaj więcej. Przedstawicielom prasy nie wolno było odwiedzać kolektywów „z tej zapewne przyczyny, że nie istniało nic takiego, co by mogło być przedmiotem odwiedzin".

Ze sformułowań tych widać, że Harsch nie przewidywał na najbliższą przyszłość jakiejś energiczniejszej akcji w kierunku tworzenia kolektywów rolnych. W rzeczywistości akcja taka podjęta została właśnie pod koniec r. 1949. Według statystyk oficjalnych w dniu 1 października 1949 r. istniało w Polsce mniej niż 150 gospodarstw kolektywnych, a w dniu 1 stycznia 1951 r. już 2.200. Dzisiaj kołchozy obejmują 2% ogółu chłopów i zapowiedziane jest dalsze przyśpieszenie tempa kolektywizacji. W ten sposób wprowadza się w życie uchwały warszawskiego „Politbiura" z października 1949 r., — uchwały niewątpliwie podjęte na bezpośrednie żądanie Moskwy.

Londyński „Economist" zamieścił świeżo ciekawe dane na temat planów „socjalistycznej przebudowy" gospodarki rolnej w Polsce. Ogłoszony przez rząd „plan sześcioletni", obejmujący okres 1950 — 1955, zawiera dokładne cyfry projektowanych osiągnięć w dziedzinie przemysłowej i nawet kulturalnej, natomiast nic niemal nie mówi o rozmiarach kolektywizacji rolnictwa, jakie miały być osiągnięte w ciągu tych sześciu lat. Przeprowadzić jakieś oszacowania z tego zakresu można więc tylko na podstawie cyfr planowanej produkcji traktorów, która w całej Europie Wschodniej i Środkowo-Wschodniej ma ścisły związek z kolektywizacją.

Plan przewiduje więc, że do końca r. 1955 oddanych zostanie do dyspozycji 61.000 traktorów, z czego 25.000 pójdzie do gospodarstw państwowych (sowchozów). Pozostałych 36.000, niemal bez wyjątku, pójdzie do stacji traktorowych, głównie dla użytku gospodarstw kolektywnych (kołchozów). Sowchozy w końcu r. 1955 mają pokrywać obszar 2.000.000 ha. Jeśli obszar ten może być obsłużony przez 25.000 traktorów, wynikałoby z tego, iż pozostałe 36.000 traktorów obsługiwać będzie około 2.800.000 ha gospodarstw kolektywnych. Łącznie cały obszar uprawiany przez państwo i kolektywy wyniósłby w tym czasie 4.800.000 ha, tj. okrągło 24% całej uprawnej powierzchni ziemi w Polsce, w dzisiejszych jej granicach.

Korespondent „Economista" podkreśla, że kolektywizacja rolnictwa natrafia na rosnący opór ze strony chłopów — i to właśnie przede wszystkim uboższych, których reżym skłonny był uważać za materiał podatniejszy. Objawiło się to m. in. przy spisie ludności, przeprowadzonym d. 3 grudnia r. ub., kiedy chłopi wzdragali się podawać dane, dotyczące ich własności.

Członek „Politbiura" Zjednoczonej Partii Robotniczej Zambrowski ogłosił świeżo artykuł, w którym stwierdza, że ludność wiejska, stanowiąca wciąż jeszcze ponad 55% ogółu zaludnienia, jest znowu tak jak w r. 1948 zaalarmowana wiadomościami o przyśpieszeniu kolektywizacji. Masowo zachodzą próby ukrywania ziarna, a w szeregu wypadków chłopi odmówili brania udziału w administracji lokalnej. Nawet ubogi wieśniak, na którego rząd liczy jako na potencjalnego sprzymierzeńca w walce przeciw bogatemu chłopu, przyniósł „rozczarowanie".

Nie wszystkie gospodarstwa kolektywne urządzone są, jak dotąd, na wzór sowiecki. Istnieją do tej pory trzy kategorie, począwszy od „typu I", w którym praca i maszyny stanowią własność wspólną, zaś ziemia i bydło pozostają własnością prywatną, aż po „typ III", który podobny jest do kołchozów sowieckich; w typie tym do chłopa należy tylko ćwierć hektara ziemi, krowa i drób. Zambrowski z ubolewaniem stwierdza, że wysiłki w kierunku przyciągnięcia uboższych chłopów do kolektywów nie mają powodzenia.

Spośród obecnych członków gospodarstw kolektywnych mniej niż 20% stanowią ubodzy chłopi, którzy posiadali mniej niż 5 ha ziemi, podczas gdy 60% przypada na chłopów, którzy posiadali 5 do 10 ha. Jest to tym bardziej uderzające, że 44% wszystkich gospodarstw rolnych w Polsce do tej pory stanowi własność ubogich chłopów, posiadających poniżej 3½ ha.

Ten stan rzeczy, zdaniem Zambrowskiego, jest winą „prawego odchylenia" w partii, za którego ideowego przywódcę uważany jest nadal oficjalnie Gomułka. Zambrowski głosi potrzebę nieubłaganej walki z tymi tendencjami, które nie zwracały dostatecznej uwagi na ubogich chłopów. Wyrazem wzmożonej walki z „bogaczami" wiejskimi jest o wiele silniejsze ich opodatkowanie, ostatnio zaś reforma walutowa pozbawiła ich dwóch trzecich wszystkich oszczędności.

„Observer" z dnia 21 stycznia w korespondencji Johna Milesa podaje dalsze dane o oporze chłopów polskich przeciw kolektywizacji. Ciekawym przejawem tego są „czystki", przeprowadzane nawet w administracji gospodarstw państwowych pod zarzutem sabotażu, lub tolerowania sabotażu.

## JUBILEUSZ SS. NAZARETANEK

**Dnia 3 grudnia w Rzymie w Domu Generalnym Zgromadzenia SS. Najświętszej Rodziny z Nazaretu odbyła się uroczystość 75-rocznicy założenia Zgromadzenia przez Matkę Franciszkę Siedliską. Zgromadzenie posiada Domy Zakonne w Polsce, w Stanach Zjednoczonych, w Anglii i we Francji. Siostry pochodzą z rozmaitych narodowości. Głównym zadaniem Zgromadzenia jest szkolnictwo i szpitalnictwo. Szkoły SS. Nazaretanek znane były w całej Polsce, a obecnie Nazaretanki w Anglii prowadzą specjalną szkołę dla dziewcząt polskich w Pitsford. Bolszewicy w czasie wojny wywieźli Nazaretanki z Wilna i Grodna na Sybir, a 11 Sióstr z Nowogródka rozstrzelali w lesie. Przełożoną Generalną Zgromadzenia jest obecnie Matka Maria Bożena Staszewska.**

## LUDZIE, KSIĄŻKI, ZDARZENIA

# NOWE DROGI POEZJI AMERYKAŃSKIEJ

Na zachodzie Europy do niedawna mało interesowano się poezją amerykańską, uważając ją, nie bez słuszności, za gałęź poezji angielskiej — i to gałęź, która z rzadka tylko wydawała wybitniejsze talenty. Ten stan rzeczy uległ jednak wielkim zmianom w ciągu ostatnich paru dziesięcioleci i dziś nikt już nie kwestionuje samodzielności i oryginalności poetów amerykańskich. Używamy tu słowa „Ameryka" oczywiście w znaczeniu Stanów Zjednoczonych, jeśli bowiem chodzi o Amerykę Łacińską, to rozwój poezji w niej od dawna już poszedł własnymi drogami choć wpływ krajów macierzystych: Hiszpanii i Portugalii musiał się oczywiście zaznaczać poprzez język i jego spuściznę pisarską.

Zainteresowanie twórczością poetycką Stanów Zjednoczonych znalazło ostatnio na terenie Wielkiej Brytanii wyraz w ukazaniu się dużej antologii pt. *„The Oxford Book of American Verse"*, opracowanej i poprzedzonej wstępem przez F. O. Matthiessena (Oxford, Geoffrey Cumberlege, cena 30 sh.) Antologia ta obejmuje ogółem 571 utworów poetyckich, napisanych przez 52 poetów. Szereg ten rozpoczyna, rzecz ciekawa, kobieta, Anne Bradstreet, urodzona w r. 1612, a kończy najwybitniejszy bodaj współczesny poeta amerykański Robert Lowell, urodzony w r. 1917.

Zdawać by się mogło, że ani wiek XVII, ani XVIII niezdolne wydać były żadnego wybitniejszego poety; wszak był to okres, kiedy cała niemal energia osadników amerykańskich poświęcona była walce o „urządzenie się" na nowym kontynencie i zmaganiu się z otaczającymi ich zewsząd niebezpieczeństwami. Z antologii jednak wynika, że i ten okres nie był jałowy w dziedzinie poezji; wydał on dwie tak interesujące indywidualności, jak Edward Taylor (1645 - 1725), którego poezja przetkana jest motywami metafizycznymi, i Joel Barlow (1754 - 1812), poeta pełen siły i witalizmu.

W wieku XIX na czoło wybili się twórcy tak oryginalni, jak Edgar Allan Poe (1809 - 1849), pisarz wielostronnie uzdolniony, oraz Walt Whitman (1819 - 1892), wróg zakorzenionych konwencji i piewca radości życia. Z innych największy rozgłos zdobył sobie Henry Wadsworth Longfellow (1807 - 1882); twórczość jego jest refleksem poezji „wiktoriańskiej" na gruncie amerykańskim.

Dopiero jednak w naszym stuleciu poezja amerykańska uzyskuje na dobre swe własne, oryginalne oblicze, różne zupełnie od brytyjskiego, — poza oczywiście wspólnym językiem i nieuniknionymi, wzajemnymi zresztą, oddziaływaniami. Tej to nowej poezji amerykańskiej poświęcona jest nowa antologia pt. *„Mid - Century American Poets"*, wydana świeżo w Nowym Jorku pod redakcją Johna Ciardi (New York, Twayne, cena 4 dol.). Książce tej bardzo obszerne omówienie poświęcił w Londynie „Times Literary Supplement."

Recenzent stwierdza przede wszystkim, że okres, kiedy modą wśród pisarzy amerykańskich — okres, któremu piętno nadawali Hemingway i Henry Miller, — było włóczyć się bez końca po Europie, należeć będzie już niedługo do przeszłości. Poeta amerykański przyjeżdża dziś do Europy w porze letniej, lub w roku, jaki wyznaczył sobie na odpoczynek. Korzeniami tkwi on w Ameryce, przy czym często szuka kariery uniwersyteckiej, która daje mu nie tylko utrzymanie, ale zapewnia możność przemawiania do kół intelektualnych i dyskutowania zagadnień poetyckich. Spośród poetów, uwzględnionych w książce Ciardi'ego, nie mniej niż jedenastu bądź wykłada, bądź wykładało do niedawna na różnych uniwersytetach amerykańskich. Ośrodkiem dyskusyj na temat poezji są kursy letnie uniwersytetu Harvard, Kenyon, Breadlof czy Wisconsin, w czasie których poeci mają sposobność bądź do wzajemnej wymiany myśli, bądź też do wygłaszania odczytów, przeznaczonych dla szerszej publiczności. Na tzw. kursach twórczego pisarstwa *(Creative Writing Courses)* mają oni wgląd w twórczość studentów i możność jej krytykowania. Poza tym uniwersytety dostarczają poetom sposobności do stykania się z pisarzami europejskimi (głównie angielskimi), bawiącymi w gościnie w Stanach Zjednoczonych, takimi jak Edith Sitwell, Sir Osbert Sitwell, Stephen Spender, Dylan Thomas, — a do niedawna i W. H. Auden, który kilka lat temu osiedlił się na stałe w Ameryce i którego wpływ na poetów tamtejszych jest niewątpliwie znaczny.

To współżycie poetów z uniwersytetami przynosi korzyści obu stronom. Uniwersytety amerykańskie muszą się reklamować w stopniu, jaki nieznany jest w Europie, — i otóż okazało się, że poza posiadaniem zawodowego zespołu graczy w *baseball*, drugą najlepszą formą reklamy są książki, ogłaszane przez członków fakultetów. Z drugiej strony poeta nie może żyć tylko ze swych wierszy; uniwersytet ofiarowuje mu to, co poeci francuscy zdawna już uznali za niezbędne: rozwiązanie zagadnienia *deuxième métier* — drugiego zawodu, który dostarcza środków do życia.

Współczesna poezja amerykańska zawdzięcza wiele grupie krytyków i poetów, znanej pod nazwą Nowej Krytyki *(New Criticism)*. Twórcą tej nazwy jest jeden z najwybitniejszych członków grupy, John Crowe Ransom. Obok niego na czoło grupy wybili się Allen Tate, Cleanth Brooks, Robert Penn Warren.

Ukazujące się w Chicago pismo *„Poetry"* ogłosiło broszurę pt. *„A Glossary of the New Criticism"*, pióra W. Eltona, wyjaśniającą, na czym polegają główne wytyczne „New Criticism" Celem tej grupy, wedle Eltona, jest „próba przywrócenia należnej pozycji tekstom literackim w obecnym wirze scientyzmu historyczno - socjologicznego, którego kategorie ołnal ten tekst pogrzebały".

Utwory, zawarte w antologii Ciardi'ego poprzedzone są z reguły wstępami, pisanymi przez samych autorów tych wierszy. Z przedmów tych wynika, że nawet poeci, krytycznie usposobieni wobec grupy „New Criticism", znajdują się pod wpływem głoszonej przez nią dążności do ścisłego. uparlego myślenia o sprawach formy, wyobraźni, rymu, rytmu, — i przede wszystkim znaczenia każdego wiersza swych poezji, jako rezultatu wszystkich tych czynników. Różnica między poezją amerykańską a europejską lat ostatnich polega na tym, że w Ameryce zaszła w technice poetyckiej rewolucja, która jednak nie wywołała chaosu w określaniu probierzy poezji.

„New Criticism" zasłużył się specjalnie przez uprawianie i głoszenie ścisłej dyscypliny wysiłku pisarskiego, która szczególnie potrzebna była na gruncie amerykańskim, chłonnym na powierzchowność i tandetę wszelkiego rodzaju. — tandetę, której najdoskonalszym wyrazem jest produkcja Hollywoodu. Grupa „New Criticism" zaleca swym zwolennikom studiowanie raczej rzeczy dobrych i trudnych zarazem, niż dobrych i łatwych. Talenty typu wesołego i nierefleksyjnego nie cieszą się dziś poparciem w Ameryce, — panuje tam raczej presja w kierunku powagi, uczciwości intelektualnej i dobrego rzemiosła.

Autor artykułu w „Times Literary Supplement" omawia po krótce twórczość poszczególnych poetów, reprezentowanych w antologii Ciardi'ego, wśród których wyróżnia wspomnianego już wyżej Roberta Lowella (którego utwory okresu 1938 - 1949 ukazały się niedawno także w Anglii nakładem firmy Faber and Faber), nazywając go *„the outstanding American poet of his generation"*. Spośród innych wymienia Richarda Wilbura, Theodora Roethkego (Niemca z pochodzenia), Randalla Jarella, Petera Vierecka.

A oto odpowiedź Richarda Wilbura na pytanie: „Do kogo skierowany jest utwór poetycki?"

„Utwór poetycki skierowany jest do Muzy. Jest to właśnie jedną z funkcyj Muzy przysłaniać fakt, że poezje nie są adresowane do nikogo w szczególności. W czasie aktu pisania utwór poetycki stanowi wysiłek wyrażenia czegoś, co wiemy, ale wiemy niedoskonale, zarysowania związków niedokładnie jeszcze widzianych, tworzenia lub odkrywania we wszechświecie pewnego wzoru. Utwór poetycki — to konflikt z brakiem ładu, a nie posłanie od jednej osoby do drugiej. Skoro tylko jednak poemat został napisany i ogłoszony, należy on do każdego, kto go podejmie, — i im więcej takich ludzi, tym lepiej".



STANISŁAW W. SZABŁOWSKI

# O ŚWIĘTYCH MAŁŻONKACH

ROZPANOSZYŁO się dzisiaj przekonanie, że małżeństwo to wygodne urządzenie sobie życia, dobre i nawzajem tolerancyjne zgranie się dwóch egoizmów, zaaprobowane kontraktem, który zależnie od potrzeby można albo rozwiązać, albo zignorować. Żyjąc w tej atmosferze, wielu katolików zdaje się poddawać tej psychozie i koncentrować swoje podejście do małżeństwa w pytaniu, na jak wiele można sobie pozwolić w małżeństwie a jednak nie zgrzeszyć. Ten defensywny i nieszczery charakter postawy wobec małżeństwa powoduje ,że nie tylko życie małżeńskie i rodzinne stało się karykaturą miłości ale i sam ideał przyćmił się znacznie w świadomości wielu, którzy złożyli sens nadnaturalny sakramentu małżeństwa do lamusa pyzatego uśmiechu okazji towarzyskiej.

A właśnie fakt sakramentu stawia w miejsce unikania grzechu, po zbliżeniu się doń na niebezpieczną odległość, konieczność uświęcenia całej dziedziny życia, wiążącej się z małżeństwem i rodziną. Bo skoro porównamy małżeństwo do spółki, powołanej do życia przez kontrakt, to trzeba by sprecyzować, że katolicki kontrakt małżeński suponuje udział w nim trzech osób: dwojga małżonków i Chrystusa, co go zasadniczo różni od umowy, na przykład, o wypożyczenie na rok electro-lux'u. Nowocześni autorzy katoliccy nie wahają się przeto nazwać małżeństwa jednością i przyjaźnią małżonków w Chrystusie. Obecność bowiem Boża wśród dwojga ludzi, którzy się połączyli w Jego imię, daje nie tylko siły i zachętę ale i wzywa do dążenia do świętości.

Czyż wiele osób nie jest zaskoczonych takim sformułowaniem, czyż wielu nie rozumie małżeństwa jako drogi życia dla tych, których nie stać na szczyty świętości, czyż małżeństwo nie jest utożsamione z założeniem, że Pana Boga obrazić nie należy, ale że przecież Pan Bóg obowiązany jest wobec tych słabszych, którzy uczciwie, z góry Mu to mówią, do tolerancyjnej pobłażliwości wobec ich błędów codziennych, czyż małżeństwo nie jest aprobatą przeciętności dla tak wielu spośród nas?

Takiemu poglądowi można się odcisnąć przekonaniem, że rodzina to warsztat Łaski. I to dwojako: jako dążenie do Boga dwojga ludzi, którzy jak najpełniej jednoczą się w Imię Boże, by wzajemnie się podtrzymywać i jako nowa jednostka wziąć udział w uniwersalnym deotropiźmie oraz jako warsztat, w którym nowi członkowie Ciała Mistycznego zjawiają się jako owoc miłości małżonków, aprobowanej przez Boga Jego aktem twórczym; tu właśnie następuje przedziwny fakt takiego kształtowania dojrzewających natur ludzkich, by mogły stać się otwartym kanałem, którym płynie Łaska. To jednak trochę różni się od małżeństwa, formy życia zakładającej zgodliwość Bożą wobec naszych słabości.

Głoszenie teorii rodziny katolickiej i uświadamianie wielkości i skutków sakramentu małżeństwa winno znaleźć swe naturalne uzupełnienie w poznaniu i przeżyciu liturgii i hagiografii, odnoszącej się do tego problemu. I oto właśnie książka Elizabeth Whitehead *„Saints for the married"* (The Mercier Press, Cork and Liverpool, 1949) wzięła sobie za cel przyczynienie się do wypełnienia luki w hagiografii małżonków. Autorka podkreśla w przedmowie, iż świątobliwi zakonnicy i zakonnice są bardziej znani ogółowi katolickiemu; ich bowiem świętość często ukrywa się przed oczyma ludzkimi w szarości i przeciętności codziennych kłopotów i zajęć. Nikt też nie zabiega w takiej mierze o ich beatyfikacje i kanonizacje jak czynią to zakony w stosunku do swych zmarłych członków. Zamiarem tedy autorki jest przedstawienie żywotów nie takich świętych, którzy już jako święci wstąpili w związki małżeńskie, lecz takich, którzy swą świętość osiągali jako małżonkowie spełniając lojalnie i z Bożą miłością swe obowiązki.

I tak staje przed nami szereg różnych postaci począwszy od św. Moniki, przesuwającej się na tle tego świata, któremu miało się już pod koniec, aż po bł. Annę Marię Taigi, wizjonerkę i mistyczkę z czasów, gdy Napoleon gruntował podwaliny jednego z tych dumnych i pewnych siebie nowych i lepszych światów. Spośród siedmiu osób, których sylwetki zarysowała nam autorka, prawie wszystkie stają wobec wyboru powołania jako zasadniczej decyzji: św. Mikołaj z Flue szuka jej w długich modlitwach, piękna Acarie tylko z największym bólem rozstaje się z myślą pójścia do zakonu, św. Małgorzata Szkocka przeżywa młodość w atmosferze przygotowania do życia klasztornego, a św. Tomasz More spędza cztery lata w klasztorze Kartuzów, zanim decyduje, iż powołaniem jego jest małżeństwo. Decyzja następowała na skutek działania bardzo wielu czynników: okoliczności, woli rodziców, wyraźnych znaków Bożych. Ale nawet wybranie powołania małżeńskiego nie rozwiązywało zagadnienia powołania w sposób tak definitywny, by doń już nie wracać. I tak św. Mikołaj z Flue opuszcza rodzinę, by zostać pustelnikiem, piękna Acarie wstępuje po śmierci męża do zakonu i zostaje siostrą Marią od Wcielenia, usiłowania bł. Taigi, by wstąpić do trzeciego zakonu św. Dominika zostają przecięte odmową męża. We wszystkich tych sprawach zarysowuje się bardzo silnie element posłuszeństwa i posłuch kierownikowi duchowemu jako interpretatorowi uczuć, wskazań i pragnień.

Ciekawym przykładem posłuszeństwa małżonkowi jest wspomniany wypadek bł. Taigi. Wstąpienie do tercjarzy równałoby się obowiązkowi noszenia habitu i przerwania współżycia małżeńskiego; protest męża spowodował, że bł. Taigi zaniechała swych planów, co nie zmieniło niczego w wyraźnych oznakach życia nadnaturalnego, jak uzdrawianie chorych, wizjonerstwo i stany mistycznego zachwycenia. Niebywale wiele światła na posłuszeństwo okolicznościom rzuca sylwetka św. Tomasza More'a; cechowały go równa pogoda, zadowolenie z tego, co się ma i naturalność, gdy zaszczyty zewsząd sypały się na niego, a król mienił się być jego przyjacielem jak i wtedy, gdy spadły nań prześladowania, upokorzenia, niesprawiedliwość, tortury i śmierć. Tenże święty jest przykładem, jak wprowadzać religię jako podstawę życia rodziny. Liturgia i modlitwa staje się osnową, na której przędzie się życie jego samego, żony, dzieci, zięciów, domowników i służby; właściwe użycie dóbr materialnych, chrześcijańska miłość bliźniego, wesoła pogoda były objawami głębokiego nurtu życia religijnego domu na Chelsea. W jakżesz różnych warunkach materialnych i społecznych, przy jak niskim poziomie intelektualnym żona lokaja bł. Anna Maria Taigi, dokonywa tego samego, co zrobił uczony kanclerz i przyjaciel królów: wprowadza Chrystusa do rodziny, a raczej może odkrywa iż On w tej rodzinie jest od chwili, gdy przyszedł w sakramencie. Gości Go więc jako pierwszego.

Niestety, wyraźnie opisowy charakter książki nie pozwala nam dotrzeć do subtelnych momentów współżycia duchowego małżonków w modlitwie i kontemplacji. Jeśli bowiem widzimy wiele zrozumienia dla świętych współmałżonków, współudział w jałmużnie, pokucie, szacunek dla momentów wzlotów mistycznych, to jednak wspólne przeżywanie kontaktu z Bogiem jak najbardziej bezpośrednie uchodzi naszej uwadze. Powstaje pytanie, czy jest to skutkiem metody opisowej autorki, która uwzględnia przede wszystkim fakty widoczne z zewnątrz, czy też może jest to wynikiem braku tego rodzaju przeżyć.

To ostatnie stwierdzenie pozwoli na sformułowanie dwu powodów, dla których ukazanie się tej książki ucieszy wielu czytelników. Bardzo pozytywny jest sam fakt ukazania się takiej książki, tak bardzo zrywającej z przesądami i nieporozumieniami, łatwej do wchłonięcia i ciekawie napisanej. Nie można się także powstrzymać od wyrażenia nadziei, że ukazanie się, a mam nadzieję i powodzenie tej książki, zachęci księgarzy do opublikowania a czytelników do zapoznania się z taką głęboką analizą świętości w małżeństwie i poprzez małżeństwo jak O. Bruno O.C.D. „La Belle Acarie". Może wtedy nie będzie niezrozumiałym życzeniem powiedzenie, że nie o to chodzi, by być świętym nawet w małżeństwie ale właśnie poprzez małżeństwo.

**Stanisław W. Szabłowski**

# „LEGION W OBRONIE WOLNOŚCI"

*Paryż, w styczniu 1951.*

W NUMERZE z 6 stycznia tygodnika paryskiego „Samedi Soir" ukazał się na pierwszej stronie artykuł Arthura Koestlera. Artykułowi temu chciałbym kilka słów poświęcić, gdyż wydaje się, iż jest on interesujący podwójnie: i ze względu na osobę autora i jego dotychczasową działalność pisarską i ze względu na stanowisko, które w tym artykule zajmuje..

Arthur Koestler należy do grupy pisarzy, którzy byli niegdyś czynnymi i ideowymi członkami partii komunistycznej i którzy na komunizmie się zawiedli. W skład grupy tej wchodzi szereg głośnych już dzisiaj nazwisk: James Burnham, Ignazio Silone, Krawczenko. Wright, Manes Sperber, Castro del Gado, Eleonora Lipper i t.d. Nie ulega wątpliwości, iż ludzie ci swą obecną karierę i pozycję światową zawdzięczają w dużej mierze sprzyjającej im sytuacji politycznej. Zachód nastawiający się coraz bardziej na walkę z komunizmem i rozumiejący jej wagę i doniosłość, zdaje sobie sprawę z tego, że właśnie ten rodzaj pisarzy dostarczyć może nie tylko bogatego materiału z dziedziny ich doświadczeń i wiedzy o komunizmie, lecz także, że wszystko co ludzie ci o komunizmie wiedzą będzie miało swój ciężar propagandowy. Być może więc, że gdyby nie pewien układ okoliczności, nie wiedzielibyśmy nic lub prawie nic o cierpieniach p. Lipper, o przejściach Castro del Gado, czy o twórczości Sperbera. Ale w wypadkach takich pisarzy jak Koestler czy Burnham elementy koniunkturalne zagrały znacznie mniejszą rolę. O ich stanowisku i pozycji światowej zadecydowała przede wszystkim ich klasa pisarska, ich waga talentu. Wydaje się też, że o Koestlerze śmiało powiedzieć można, że znajduje się on w pierwszej dziesiątce pisarzy światowych.

Dotychczasową działalność pisarską grupy tak zwanych zawiedzionych komunistów można by scharakteryzować mniejwięcej w ten sposób. Najogólniej mówiąc ich rozczarowanie w stosunku do komunizmu podyktowane zostało głównie i zasadniczo humanitaryzmem; ich zerwanie więc z nim było wystąpieniem w obronie praw jednostki i jej nienaruszalnej wartości, było manifestacją w imię sprawiedliwości. Momentów czysto politycznych w decyzjach tych nie było. Rozstaniu się z komunizmem spowodowanemu, jak powiedzieliśmy, najszlachetniejszymi intencjami, towarzyszyły zwykle dwie cechy charakterystyczne. Po pierwsze, ostateczna decyzja zerwania poprzedzona była przeważnie długim okresem walki wewnętrznej, stopniowego narastania rozgoryczenia i buntu, wahań, bolesnego przeżywania upadku ideału, w który się wierzyło. Im przywiązanie do ideału tego było silniejsze, tym okres walki wewnętrznej był dłuższy, tragiczniejszy, trudniejszy. Po drugie, gdy wreszcie decyzja zerwania została powzięta i wykonana, nagle, ten czynny dotychczas — mimo wszystkich wątpliwości — komunista stwierdzał, że znalazł się w pustce zupełnej. Świat kapitalizmu i burżuazji, który zwalczał on tak zażarcie i wściekle, nie zamieniał się automatycznie, po zerwaniu z komunizmem, w świat aniołów i pół-bogów, wyciągnięcie ręki do niedawnego wroga nie wydawało się możliwe, wejście w skład jakichś organizacyj socjalistycznych było mało pociągające. Zawiedziony komunista czuł się sam, w obliczu tragicznej pustki, skazującej go na bezczynność i bolesne zagłębianie się we własnej tragedii. Te dwie cechy charakterystyczne, poczucie otaczającej pustki i nieustanne powracanie do swych tragicznych doświadczeń i przeżyć, były najbardziej zasadniczymi i rzucającymi się w oczy właściwościami zawiedzonych komunistów.

Tak było ze wszystkimi, łącznie z Koestlerem, a za wyjątkiem Burnhama. Burnham bowiem wyjście z impasu znalazł od razu prawie, odkrywając w sobie i podnosząc do godności posłannictwa swą wolę walki z komunizmem. Wydawało się więc, że ogromna większość pisarzy — zawiedzionych komunistów, skazawszy siebie na zawieszenie w próżni między obozem, do którego należeli do niedawna, a obozem, do którego nie chcieli czy nie mogli wejść, nie potrafi dać z siebie nic poza negatywnym naświetleniem komunizmu, opisem swych własnych bolesnych przeżyć oraz krytyką czy niechęcią w stosunku do świata demokracyj zachodnich. Koestlera „Ciemność w południe", „La lie de la terre". „La croisade sans croix" i jego rozdział w „Les Dieux des ténebres" były najlepszym odzwierciadleniem tych poszczególnych etapów i nastawień pisarza — zawiedzionego komunisty.

Na tie tak układającej się i w takich ramach ujętej działalności pisarskiej ostatnie wystąpienie Koestlera jest dosyć rewelacyjne. Jest to bowiem ni mniej ni więcej tylko wejście na drogę akcji i jest to czynne zaangażowanie się po stronie Zachodu w walce z komunizmem. Koestler w artykule swym występuje z projektem najzupełniej konkretnym i przemyślanym utworzenie legionu czy armii europejskiej w obronie wolności. Projekt ten już sam w sobie jest ciekawy. Oto w najgłówniejszym zarysie założenia i tezy tego artykułu.

Europa zachodnia, słaba, schorzała, wewnętrznie skłócona, podminowana komunizmem nie umie przeciwstawić się jemu skutecznie. Zdaniem niektórych polityków i ludzi myślących Europę zachodnią uratować mogą dwie rzeczy: albo stworzenie jej warunków dobrobytu, co automatycznie przyniesie podniesienie stopy życiowej mas i zniweluje siłę atrakcyjną komunizmu, albo powstanie jakiejś wielkiej, porywającej ideologii. Obie te nadzieje Koestler uważa za iluzoryczne. Sądzi on, że trudno wierzyć, by nawet, gdyby jeden z czynników tych się urzeczywistnił, żeby skutki jego mogły zagrać w pełni i na czas. Co więc Europę zachodnią uratować może? Jej zjednoczenie. Statystyki wykazują, że 54% ludności jej zjednoczenia tego się domaga. Lecz obok tego ostatnie doświadczenia mówią nam i najlepiej ilustrują to, jak powoli i opornie sprawa ta posuwa się naprzód. Jak opory te i trudności pokonać? Potrafimy przezwyciężyć je tylko wtedy — mówi Koestler — gdy stworzymy symbol zjednoczenia i to taki, który do idei tej masy zagrzeje i porwie jeszcze bardziej. Tym symbolem może być tylko armia europejska. Tak jak niegdyś armie rewolucji francuskiej, czy wojska walczące o niepodległość Ameryki potrafiły pociągnąć za sobą masy, tak i teraz armia europejska, ten symbol zjednoczenia, przywróci Europie wiarę w siebie, natchnie ją nowym poczuciem jej własnej godności i siły, będzie przyczyną odrodzenia.

Według projektu Koestlera ta armia europejska nosiłaby nazwę „Legionu w obronie wolności", w skład jego wchodziliby ochotnicy 11 państw Europy zachodniej, uzbrojenie jego byłoby nowoczesne, amerykańskie. Legion posiadałby swój własny sztandar. Wymieszanie obywateli poszczególnych państw miałoby miejsce na najniższym szczeblu, bo szczeblu drużyny, język oficjalny — francuski. Legion taki będzie pierwszym realnym zaczątkiem Europy i każdy żołnierz jego — realnym przedstawicielem ducha zjednoczenia.

Projekt ten jest ciekawy, jak powiedzieliśmy, podwójnie: i ze względu na treść, jak też i osobę, która go wysuwa. Rozwiną się na pewno naokoło niego dyskusje, komuniści podniosą gwałtowny protest. Ale nie jest wykluczone, iż Legion w obronie wolności, jeżeli powstanie, będzie mógł może odegrać doniosłą rolę. Szkoda tylko, że autor projektu tego myśląc o tworzeniu symbolu zjednoczenia Europy — pomyślał tylko o jednej jej części. Szkoda, że pragnie on stworzyć symbol zniekształcony. To bowiem, co leży na wschód od lini Elba-Triest jest także Europą.

**Jur.**





# NOWE FILMY

### BANAŁ W CZERNI

*Film:* „The Dark Man". *Kino:* Odeon, Marble Arch. *Prod.:* Rank (bryt.). *Scenariusz i reżyseria:* J. Dell.

TYLKO Anglicy mogli wpaść na pomysł nakręcenia filmu opartego na jednym jedynym motywie: pogoni za kryminalistą. Od początku wiemy doskonale co się stało, kto kogo zamordował i dlaczego, kogo będzie usiłował sprzątnąć zanim sam zostanie przez policję sprzątnięty. Nie wiadomo, czy cieszyć się, czy martwić, że pogoń pokazano wcale zręcznie, a nawet w w końcowych partiach, gdy opryszek ucieka na poligon artyleryjski, prowokując udział w polowaniu także Royal Artillery (bez dział, ale z kb. i elkaemami) — wręcz doskonale. Skoro zdołano to osiągnąć i skoro przepojono film przestrzenią i szerokim oddechem, a zdjęcia zrobiono więcej niż poprawnie — to znaczy, że gdyby nie płycizna scenariusza i papierowość postaci, film mógłby być całkiem strawną, kulturalną rozrywką.

Maxwell Reed, doskonały skądinąd aktor nie był w stanie wydobyć z roli „Człowieka w czerni" niczego więcej ponad konwencjonalną przeciętność. Chwilami nie jest w stanie opanować pogardliwych uśmieszków, niewątpliwie przeznaczonych nie dla widzów lecz dla reżysera i scenarzysty w jednej osobie. Obiecująca debiutantka z filmu „Dance Hall", Natasha Parry w roli młodej aktorki i niedoszłej ofiary czarnego super-spiva nie pokazała niczego prócz pary fotogenicznych nóg. Dobry charakterystyczny detektyw Edward Underdown i jego umundurowany rywal, superintendent William Hartnell przejawiają niejakie oznaki życia, głównie wtedy, gdy znajdują się w biurach policji. Kilka zręcznych i nawet dowcipnych dialogów nie zdołało nadać rumieńców temu czarnemu banałowi.

**(sp)**



NA powieść Giertycha czyhało jakieś nieprzyjazne fatum. Pierwszy rękopis zaginął w Warszawie. Trzeba było dużego nakładu pracy, by go odtworzyć, ale los sprawił, że tę rekonstrukcję ukradziono. Wtedy już wydawało się mało prawdopodobne, by książka kiedykolwiek powstała. Autor przyjechał do Anglii i trzeba było zacząć ciężko pracować na chleb.

Jednak pragnienie wyrażenia siebie i swych czasów nie dało pisarzowi spocząć. Odtworzył rękopis raz jeszcze, co w jego warunkach było wyczynem wprost heroicznym. Wreszcie — książka wyszła drukiem.

Pieniądze na wydanie zdobył Giertych drogą subskrypcji t. zn., że pewna ilość czytelników kupiła książkę „w ciemno". Co prawda znali autora jako publicystę, ale nie jako literata. I — jak wynika z listów, które zaczęły napływać do Giertycha — nie zawiedli się na owym „kocie w worku".

Ten epos polskości, jakim jest „W Polsce między wojnami", znalazł oddźwiek wszędzie, gdzie są Polacy, to jest — na całym świecie. Oto parę głosów:

Pisze A. H. (Francja): Jest to „*książka miłości i tęsknoty*", *list, pisany do wszystkich tych, którzy... tęsknią i miłują to co minęło i to co będzie. ... Ludzie... kochający Polskę* (książkę tę) *sobie wyrywają i nią się pasjonują.*" Odczuwa się ją „*jako poezję zahaczającą o wizję tęsknot najgłębszych*". Autor potrafił „*uczuciem ukwiecić i umaić powieść społeczno-polityczną i innych zmusił do kochania tego, co sam kocha.*" Wyraził „*uczucia i żale setek tysięcy rozsianych po świecie... językiem tak pięknym, że każdy... pyta siebie, czy wśród obcych nie zgubił tych skarbów i nie zubożył tego daru, jakim jest język polski.*"

22 letni Z. B. (Szwecja) uważa, „ *że* (książka ta) *powinna być obowiązującą lekturą szkolną. ... Jestem z całym uznaniem za tak piękne oblicze katolicko-narodowe,* (za) *konsekwentne wskazywanie tego fundamentu* (polskości)."

Z. K. (Brazylia) pisze: „*Przede wszystkim zwraca uwagę miła, bardzo pociągająca wzrok, jakaś niecodzienna i pogodna, — jej szata zewnętrzna. ... Taka ,z tamtąd', z ,tamtych lat'.*" Książka ta jest manifestacją wysiłku Narodu, „*aby nie dopuścić do zagłady naszej kultury.*"

„*Z jaką przyjemnością* — piszą państwo T. T. (Francja) — *czytamy opisy Warszawy, Polesia, Okopów Św. Trójcy.*" A H. S. (Anglia) dodaje: „*Typy opisywane* (w powieści) *są mi osobiście dobrze znane, gdyż miałem okazję spotkania ich w rzeczywistym mym życiu ,między wojnami'.*"

Ta sama pani H. S. wyraża nadzieję, *że* (nie jest to) *ostatnia seria i że będzie mogła dołożyć cegiełkę do następnych najukochańszych książek o Kraju.*"

I tu należy zwrócić uwagę na to jakieś wspólne pragnienie kontynuowania myśli Giertycha, doprowadzenia ich do owego, pełnego chaosu Dzisiaj.

„*Czy rodzina Pasków* — zapytują cytowani już pp. T. T. — *nie powinna emigrować, by się zająć problemami* (emigracji)? *Gdyby się tu Grześ znalazł, przyjmiemy go serdecznie i z zadowoleniem. ... Niechże by to była polska rodzina Whiteoak'ów.*"

Czym jest powieść „W Polsce między wojnami" dla Polaka? Na to pytanie odpowiada rodzina emigrancka z Francji; list jej podajemy w całości:

„*Niniejszem donosze i dziekuje szanownemu Panu autorowi tych książek pod tak zwane w Polsce miedzy wojnami, jako książki te otrzymałem i potwierdzam ich odbiór i jezdeśmy bardzo zadowoleni cała rodzina, bo my sie nigdy nie spodziewali tak duży całości ze te pare naszych franek to tysz dziekujemy Pan autorowi za tak prześliczne i tanie ksiązki bo się znich bardzo cieszym i są my bardzo zadowoleni to tysz życzymy panu dalszy owocny pracy i jak pan będzie miał znow kiedy nowe powiesci niech pan łaskaw napisze na zawsze ten sam adres, a znad chodem Nowego roku zasyłamy i życzymy Panu i cały Rodzinie pana wysołygo i szczęśliwego powodzenia w tym Nowym roku*

*cała Rodzina W... stare Emigracyje.*"

To nie prawda, że emigracja nie czyta. Książka o Polsce, napisana z miłością, zawsze z miłością zostatnie przyjęta. Powyższy list jest tego dowodem.

## PRZECIW PALENIU TYTONIU W TEATRACH I W KINACH

„Evening Standard" z d. 25 stycznia w artykule wstępnym domaga się wydania przez władze zakazu palenia tytoniu w teatrach i kinematografach.

Poza Włochami — stwierdza ten dziennik — Anglia jest jedynym z krajów cywilizowanych, w którym z zasady wolno palić w kinematografach i teatrach. Palenie jest dozwolone we wszystkich kinematografach Londynu i w 29 teatrach „West Endu" na ogólną liczbę 44. W Szwecji, Niemczech i Francji istnieje ścisły zakaz palenia we wszystkich teatrach i kinematografach. W Norwegii i Danii wolno palić tylko w przybytkach lekkiej rozrywki. W Stanach Zjednoczonych istnieje absolutny zakaz palenia zarówno w kinematografach jak i teatrach. W Kanadzie istnieje również taki zakaz; wyjątkowo wolno palić na balkonach niektórych teatrów.

Dodajmy tutaj, że i w Polsce obowiązywał zawsze zakaz palenia w teatrach i kinematografach.

„Evening Standard" przypomina, że do r. 1915 także w Anglii nie wolno było palić w teatrach. Pierwszy wyłom zrobił teatr „Comedy", którego dyrekcja argumentowała, że należy zrobić ustępstwo żołnierzom, tak przyzwyczajonym do palenia.

Zakaz palenia należy obecnie — zdaniem pisma — przywrócić. Uniknie się w ten sposób wielkiej części kichnięć, kaszlu i innych odgłosów, które tak zakłócają przebieg przedstawień, zwłaszcza w Londynie, gdzie sale teatralne są często tak ciasne i źle wentylowane.

# ZAPISKI LONDYŃSKIE

**Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu**

### PIĘĆDZIESIĘCIOLECIE ZGONU VERDIEGO

30 stycznia rb. minęło lat pięćdziesiąt od dnia, w którym w Mediolanie zmarł największy z nowoczesnych kompozytorów włoskich Giuseppe Verdi (1813 — 1901). Czczony on jest nie tylko jako muzyk, ale także jako jeden z bardów włoskiego *Risorgimento* — i w swym zakresie stawiany niemal na równi z Mazzinim, Garibaldim i Cavourem.

Prasa angielska poświęciła tej rocznicy szereg artykułów; B.B.C. dało dnia 28 stycznia audycję zbiorową, omawiającą życie i twórczość Verdiego i tegoż dnia po południu koncert najcelniejszych jego utworów.

Piszący o Verdim podkreślają, że od chwili zgonu kompozytora nie nastąpiły żadne zmiany w sądach, które z jego dzieł osiągnęły najwyższy poziom artyzmu. Za najlepsze utwory Verdiego nadal uważane są: „Rigoletto", „Trubadur", „Traviata", „Aida", „Requiem", „Otello" i „Falstaff". Opera „Don Carlos" wystawiana obecnie w londyńskim teatrze Sadler's Wells, uważana jest za jedno ze słabszych dzieł wielkiego kompozytora.

Dzienniki notują, że w ciągu całego roku bieżącego we Włoszech odbywać się będą obchody ku jego czci oraz koncerty i przedstawienia jego dzieł. Stąd nazwa: *Anno Verdiano.*

### RZĄD SUBSYDIUJE WYTWÓRCZOŚĆ FILMOWĄ

Rząd brytyjski zatwierdził projekt przeznaczenia 1.200.000 funtów na popieranie krajowej wytwórczości filmowej. Odnośny projekt przedstawiony został ministrowi handlu Wilsonowi przez przewodniczącego „National Film Finance Corporation" lorda Leith.

Z owych 1.200.000 funtów około 700.000 oddanych będzie do dyspozycji trzech kompanii filmowych, które zostaną w najbliższym czasie powołane do życia. Każda z tych kompanii ma zrzeszyć pewną ilość producentów filmowych, chodzi bowiem o to, by zasiłki państwowe nie były rozpraszane na poszczególne filmy, ale by szły one na całe grupy filmów, zapewniając w ten sposób należytą kontrolę w zakresie finansów i w innych dziedzinach.

Kompania A związana będzie z wytwórnią „General Film Distributors". Wytwórnia ta gwarantuje 70% całej sumy, niezbędnej na produkcję, a wspomniana wyżej korporacja rządowa da 30%. Filmy produkowane będą w Pinewood. Kompania B zorganizowana będzie na mniejszą skalę; produkcja jej odbywać się będzie w Elstree. Kompania C umożliwiać będzie młodym, nieznanym do tej pory producentom wytwarzanie tzw. *feature films.*

Pół miliona funtów przeznaczonych będzie na pomoc dla producentów niezależnych, którzy nie zgłoszą przystąpienia do żadnej z wyżej wymienionych kompanii.

Z listy lorda Leitha wynika, że „National Film Finance Corporation", dysponująca funduszami rządowymi, do końca r. 1950 wydała łącznie 5.380.000 funtów z pozostającej jej do dyspozycji sumy 6.000.000. Zwróciło się 385.000 funtów, tak że do dalszej dyspozycji zostało jeszcze około miliona.

### O TELEWIZJĘ BARWNĄ

Pojawienie się telewizji barwnej nie jest jeszcze, jak się wydaje, sprawą najbliższej przyszłości. W Ameryce toczy się na ten temat cała batalia między „Columbią" a „R.C.A.". System telewizji barwnej, który pragnie wprowadzić w życie „Columbia", nie może być urzeczywistniony bez kosztownych zmian w dotychczasowych odbiornikach telewizyjnych. System R.C.A. znajduje się jeszcze w stadium laboratoryjnym. Kompania ta zmierza do uzyskania decyzji prawnej, na mocy której jej konkurentka „Columbia" nie mogłaby puścić w ruch telewizji barwnej do chwili, w której wykończony będzie system R.C.A.

W Wielkiej Brytanii cała sprawa znajduje się również w stadium badań. W obecnych warunkach, przy bardzo wąskim zakresie fal radiowych, przyznanych telewizji, telewizja barwna nie może być wprowadzona w życie. Istnieją tylko dwie drogi wyjścia: albo użycie krótszych fal, albo też wytworzenie nowej aparatury, która mogłaby przekazywać barwne obrazy przy pomocy fal dotychczasowych. W stacji badawczej Kingswood pracuje nad tym zagadnieniem szereg naukowców i techników.

B.B.C. stoi na stanowisku, że zanim jakiś system telewizji barwnej będzie przyjęty, musi istnieć rękojma, że wynikiem jego będą obrazy dobrze zarysowane, tak by system mógł być w użyciu przez dostatecznie długi okres. W przeciwnym razie rzecz nie byłaby warta zachodów i wydatków.

# PO PIERWSZYM ZJEŹDZIE POLSKIEJ INTELIGENCJI KATOLICKIEJ W HOLANDII

Pod hasłem „odrodzenia duchowego przez pojednanie się z Chrystusem Panem, u progu Adwentu i kresu Roku Świętego", w dniach 2 i 3 grudnia ub. roku w Bouvigne k. Bredy, odbył się pierwszy Zjazd Polskiej Inteligencji Katolickiej w Holandii.

Myśl o skrzyknięciu się polskiej inteligencji kat. na tutejszym terenie nurtowała już od roku prawie polskich studentów w Nijmegen, zgrupowanych w Kole P. K. S. U. „Veritas", ale dopiero na skutek osobistego kontaktu londyńskich Veritas'owców ze studentami i przedstawicielem polskiej inteligencji w Holandii p. drem Komarem na XXI Kongresie „Pax Romana" w Amsterdamie, myśl ta przerodziła się w aktualny problem i, po wstępnych przygotowaniach komitetu (na którego czele stanął i którego duszą był dr Komar) doszedł do skutku zjazd. Zyskał on poparcie I. P. A. K. w Londynie, a protektorat objął Rektor Polskiej Misji Katolickiej w Holandii O. Efrem, kapucyn.

Pomieszczenia na obrady, posiłków i noclegów udzieliły panie z holenderskiej Akcji Katolickiej, (których własnością jest pałacyk Bouvigne), za minimalną opłatą. Podkreślić należy, iż wśród społeczeństwa holenderskiego, a zwłaszcza mieszkańców Bredy przechowuje się pamięć o dziele oręża polskiego, dokładniej: o wyswobodzeniu tego miasta przez oddziały 1 Dywizji Pancernej Gen. Maczka. Sam Gen. Maczek założył swą kwaterę główną w Bouvigne w 1944 r. Pamięć ta jest żywa, czego dowodem serdeczność, z jaką zarząd pałacu powitał nas i gościł. Szczególnie miły był fakt, że w czasie trwania Zjazdu umieszczono na honorowym miejscu w sali obrad duży obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, przed nim wiązankę kwiatów i płonącą świecę.

Przybyło z górą 30 osób. Prócz O. Efrema zaszczycili Zjazd swoją obecnością: O.Hieronim, Asystent Kościelny Koła P.K.S.U. „Veritas" w Nijmegen oraz Ks. L. Romała z Utrechtu.

O. Efrem, witając zebranych, przekazał błogosławieństwo pasterskie i życzenia pomyślnych wyników zaczętej pracy od Ks. Biskupa Ordynariusza diecezji Breda i wskazał na konieczność uformowania i wyrobienia typu polskiego inteligenta-katolika. Myśl tę rozwinął O. Efrem w wieczornej nauce w kaplicy.

W czasie Zjazdu wygłoszono 3 referaty o charakterze wprowadzającym.

W pierwszym prelegent uzasadnił *Konieczność głębszego poznania wiary.* Dzieje się bowiem często, że rzeczywistość bywa interpretowana z punktów widzenia poszczególnych gałęzi wiedzy. Taka postawa fałszuje obraz rzeczywistości, wprowadzając pojęcie jakoby niezliczonej ilości prawd. Usiłuje się tłumaczyć „byt" chemią, historią, psychologią, ekonomią i t.d. Gdy tymczasem jest tylko jedna prawda i jedna interpretacja rzeczywistości. Dorobek wiekowy myśli ludzkiej zwiemy kulturą, a jej syntezą jest filozofia. To w porządku przyrodzonym. Ale istnieje jeszcze porządek nadprzyrodzony i te dwa dopiero tworzą całość. Dlatego należy się wznieść z ciasnego kręgu „zawodowego" na poziom wyższy i dopiero stamtąd ogarnąć wzrokiem to co jest. Jednym słowem trzeba wejść w kontakt z Bogiem przez wiarę i łaskę.

Nawiązaniem do powyższego był referat drugi: *O roli polskiej inteligencji katolickiej w dobie obecnej.* Prelegent wyszedł z założenia, że inteligent-katolik, inteligent polski zwłaszcza, obarczony jest ogromną odpowiedzialnością za losy swego społeczeństwa, w którym z natury rzeczy zajmuje miejsce poczesne. Ale nie tylko to. Polska zdobyła sobie zaszczytne miano przedmurza chrześcijaństwa. Przeszłość wykazuje, że naród nasz godnie to miano nosił. Chodzi zaś o to, by teraźniejszość i przyszłość w niemniejszym stopniu potwierdzały słuszność tej opinii. Schizmatycka a dziś w części już bezbożnicza Rosja — oto pole działania dla narodu polskiego, a w pierwszym rzędzie jego elity — inteligencji. Zanim jednak przejdziemy do realizacji tych wielkich zamierzeń, należy odrodzić naród, a w pierwszym rzędzie nas samych. To stadium pośrednie jest konieczne, ponieważ myślowe prądy europejskie jak modernizm i pozytywizm, długoletnia niewola, wojny it.d. wywarły destrukcyjny wpływ na nasz naród, na inteligencję szczególnie. Wpływ ten zaznaczył się w dyletantyzmie religijnym i zlaicyzowaniu życia. Jesteśmy w tej chwili świadkami głębokiego odrodzenia duchowego rodaków w Kraju. Między innymi i ten fakt nakłada na nas żyjących w wolnym świecie obowiązek „wejścia w siebie" celem przeprowadzenia reformy odrodzenia siebie przez pojednanie z Chrystusem — rozszerzenia pola widzenia przez niejako umieszczenie siebie na płaszczyźnie wiary i łaski.

Trzeci referat był już niejako próbą skreślenia dróg realizacji zaleceń obu pierwszych. Prelegent poświęcił przeszło półtorej godziny wywodom na temat: *Katolicyzm a komunizm.* Na wstępie zwrócił uwagę na niebezpieczeństwo, które niesie z sobą indyferentyzm, zastój, kwietyzm. Zaciera on różnicę między światopoglądami i nakazuje przyjmować postawę jak najbardziej bierną (jeśli bierność w ogóle można nazwać postawą) wobec wszelkiego rodzaju prądów umysłowych, szerzących się idei i haseł, bądź to zgodnych z nauką Kościoła bądź to jej wrogich. Kwietyzm jest szczególnie niebezpieczny dziś, kiedy to świat stoi w przededniu decydującej rozgrywki nie na miecze, a na idee. „Nie samym chlebem żyje człowiek" — było odpowiedzią Chrystusa na szatańską pokusę, a oto komunizm, usiłuje wmówić światu, że owszem, samym tylko chlebem. Przeciw kłamliwości tych haseł nieraz zabierał głos Rzym. Należy wspomnieć społeczną encyklikę Leona XIII i Piusa XI encyklikę „Divini Redemptoris" skierowaną już wprost przeciw bezbożnemu komunizmowi, oraz „Summi Pontificatus"- apel Piusa XII do sumienia narodów. Chodzi o to, aby otrząsnąć się z wygodnictwa i poznać niebezpieczeństwo. Idei jednak nie pokonuje się mieczem, ani bombą atomową. Z ideą może się zmierzyć tylko idea. Od rzeczywistej wartości (a rzeczywistość mierzy się transcedentalnością) jednej z nich zależeć będzie wynik w zbliżającym się konflikcie. Stanowisko katolika jest jasne. Wybór, dla samego już faktu, że jest katolikiem, jest mu narzucony, narzucony nie gwałtem, terrorem, strachem, ale miłością, której, gdyby ją pojąć, nie sposób się oprzeć — taka jest oczywista i słuszna. Po tamtej stronie jest fanatyzm mas, wiara w ideę, po naszej ideą jest Wiara. Stojąc pod znakiem krzyża i gotując się do walki, trzeba oczywiście poznać strategię i taktykę wroga, ale daremne będą nasze wysiłki w starciu, jeżeli nie będziemy znali *możliwości* naszych posunięć. Konkluzja narzuca się wprost: poznanie wiary jest koniecznością, teza postawiona i rozwinięta w pierwszym referacie. Stąd zamknięty cykl, harmonijna całość wygłoszonych prelekcyj.

Dyskusje były ożywione i byłyby długie, gdyby nie stał na przeszkodzie brak czasu, mierzonego punktami programu. A program przewidywał między innymi nabożeństwo w kaplicy z egzortą O. Efrema i spowiedź — pojednanie się z Chrystusem przez ukorzenie się i złączenie się z Nim w Komunii św. podczas niedzielnej Mszy św.

Cel, który organizatorzy Zjazdu sobie postawili, został osiągnięty — odrodzenie duchowe za pomocą środków nadprzyrodzonych, oraz środków przyrodzonych — referatów i dyskusyj. Całość odbyła się w serdecznej, katolickiej i polskiej atmosferze.

Motyw miłego spędzenia week end'u w starym, królewskim pałacu zeszedł na plan dalszy, za to nawiązanie kontaktów wśród polskiej katolickiej inteligencji w Holandii powiodło się, mimo przeciągniętych do granic możliwości „oficjalnych" posiedzeń i racjonowanych przerw.

Komitet organizacyjny żywił zapewne jakieś nadzieje, że Zjazd ten i ewentualnie następne, nie będą imprezami doraźnymi, że zebrani zechcą narzucić sobie jakąś stałą formę organizacyjną, może nie śmieli tylko tego życzenia wyrazić A jednak... Utworzone zostało Koło Akcji Katolickiej przy Polskiej Katolickiej Misji w Holadii w oparciu o Instytut Polski Akcji Katolickiej (I.P.A.K.) w Londynie.

Bouvigne żegnaliśmy z odrobiną żalu, ale dominowało zadowolenie z uczynienia pierwszego kroku, a zresztą spotkamy się w tym samym Bouvigne w Wielkim Poście, w takim samym składzie, a może nawet przybędą inni, zachęceni pierwszym powodzeniem.

**Zygmunt Herman**

*Nijmegen, w styczniu 1950*

# POCHWAŁA RODZICÓW

Często spotyka się w prasie i w rozmowach prywatnych utyskiwania, a nawet słowa nagany pod adresem rodziców, że zaniedbują swe obowiązki, że nie dbają o wychowanie narodowe swych dzieci, które nie umieją nawet mówić po polsku.

Młodzież, uczęszczająca na czwarty z kolei kurs wakacyjny, organizowany przez Komitet Opieki nad młodzieżą szkolną, wydała swym rodzicom jak najlepsze świadectwo. Zdumiewała wykładowców zarówno zakresem wiadomości z historii i literatury, jak i dobrą, poprawną wymową.

Kurs trwał jak zwykle sześć dni. Dzieje Epoki Piastowskiej wykładał prof. dr H. Paszkiewicz, czytał i komentował utwory z literatury polskiej dr L. Pobóg Kielanowski. Uczestników było 86, kurs niższy (13 - 15 lat) miał 16 słuchaczy, na wyższym (15 - 17 lat) uczestniczyło 70 osób. Do konkursu głośnego czytania zgłosiło się dobrowolnie 39 osób. Uderzał trafny i piękny wybór autorów: Słowacki, Norwid, Żeromski, Wierzyński, i in. Najmłodszą poezję reprezentowała śp. Teresa Bogusławska, poetka okresu okupacji i powstania warszawskiego. Nagród w formie książek rozdano cztery, wyróżnień było więcej. Słuchacze byli na przedstawieniu kukiełek w Ognisku. Niejednokrotnie przy zapisie dzieci rodzice ubolewali, że mają tak mało czasu i tylko godzinę dziennie poświęcają im na wspólne głośne czytanie, ale przy końcu kursu można było stwierdzić, jak wiele w sumie te godzinki dają, jak starania rodziców dobre przynoszą wyniki. — Wykłady odbywały się jak zwykle w sali przy 51, Eaton Place, S.W. 1.



### PACZKI GWIAZDKOWE DLA CHORYCH POLAKÓW W WIELKIEJ BRYTANII

W okresię Świąt Bożego Narodzenia 2.254 inwalidów i chorych Polaków w W. Brytanii otrzymało paczki gwiazdkowe, zawierające bakalie, słodycze, orzechy, papierosy, drobne upominki oraz życzenia z opłatkiem.

Akcja ta, podejmowana corocznie przez Komisję Koordynacyjną Opieki Społecznej przy Zjednoczeniu Polskim w W. Brytanii, została przeprowadzona tym razem na znacznie większą skalę. Udział w niej wzięły również organizacje angielskie i polskie. Na ogólną ilość 2.254 paczek Komisja Koordynacyjna sporządziła 1.244 paczek, Women's Voluntery Services 370, Anglo-Polish Society — 300 i Hospital Visiting Committee przy Polish Research Centre — 340. Paczki otrzymali chorzy i inwalidzi w większych zgrupowaniach na terenie szpitala w Epson, Penley, Iscoyd Park, Ballochmyle, w ośrodku inwalidzkim w Brighton oraz rozproszeni w przeszło 200 szpitalach na terenie całej W. Brytanii.

Paczki, sporządzone przez Komisję Koordynacyji, zostały sfinansowane z dotacji 11 organizacji i instytucji polskich, wchodzących lub współpracujących z Komisją, oraz z ofiar od poszczególnych osób, które pośpieszyły z datkami w odpowiedzi na apel prasowy.

Koszt 1.244 paczek wyniósł £ 192.15.3, wpływy — £ 163.7.2 (w tym z dotacji polskich organizacji — £ 152.4.2 i z ofiar od osób prywatnych — £ 11.3.0).

Różnicę w wysokości £ 29.8.1 pokryła Komisja Koordynacji z własnych funduszów.

Dary w naturze od indywidualnych ofiarodawców (m.in. 113 tabliczek czekolady, kilkanaście funtów cukierków, 480 papierosów, bakalie, orzechy itp.) w dużym stopniu przyczyniły się do urozmaicenia zawartości paczek. Opłatki ofiarował ks. T. Kirszke, duszpasterz polskiej młodzieży akademickiej.


**ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny.** Wydaje: **Veritas Foundation Publication Centre.** Adres redakcji i Administracji: **Polish Weekly, ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W. 2.** Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt **tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł.** Administracja czynna **codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17** — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja **żadnych rękopisów nie zwraca.** W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. **Prenumerata** płatna jest z góry i wynosi: **miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty** przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi **„crossed"**, wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. **CENY OGŁOSZEŃ:** 1 cal przez 1 łam £ 1; **w tekście** 50% drożej, na stronie **tytułowej** 100% drożej. **Prenumerata zagraniczna:** SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: B. KUROWSKI. Anggatan 6 c. Lund. Sverige. Sweden. NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM. kwartalnie 7.00 DM. ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI. Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: PKSU VERITAS, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2. USA: kwartalnie pocztą zwykłą 2 dol.; pocztą lotniczą — 5 dol. Przedstawiciel: A. Stojanowski, 36, Dearborn Ave, Rye, N.Y.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734